



WIADOMOSCI LITERACKIE

T Y G O D N I K

Nr. 14 (753)

Warszawa, Niedziela 27 marca 1938 r.

Rok XV

ZBIGNIEW GRABOWSKI

PLOTKI PANI GENOWEFY

Londyn, w marcu 1938.

Madame Geneviève Tabouis należy do najczęściej cytowanych w prasie światowej dziennikarzy. Jej sylwetka jest dobrze znana każdej konferencji międzynarodowej, kulaarom genewskim, salonom ambasad. Pochylona, o subtelnym profilu, ironiczna i szybka w reakcjach, dysponuje Madame Tabouis w olbrzymiej mierze tem co się zwie „stosunkami”. Jej artykuły w lewicowym piśmie „L'Oeuvre” wlały krew w żyły tego dziennika.

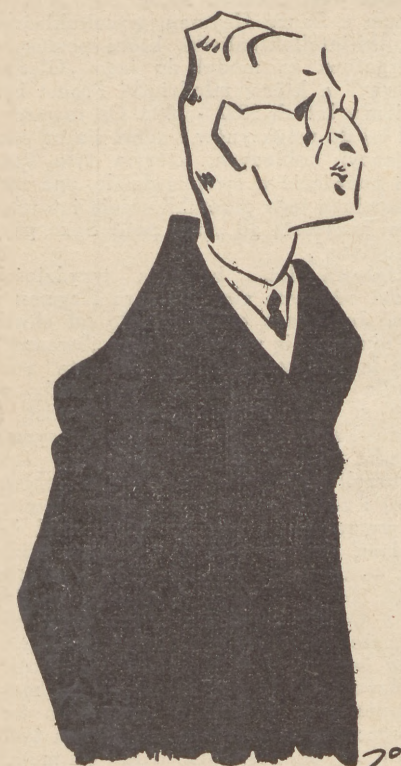
Madame Tabouis, pochodząca z rodziny, która wydała niejednego dyplomata i

rażnie na „bomby” i uciekając się do wyzucia faktów — o tyle jej książka jest utrzymana w rytmie spokoju i rozważa. Oczywiście, niektóre wnioski wydają się na pierwszy rzut oka zbyt dowolne, niektóre antypatie zaledwie są wybujałe (niechęć do Niemiec i wyraźne uprzedzenie do faszyzmu) — ale mimo to tom Madame Tabouis zawiera zbiór doskonałych zestawionych faktów i jest lekturą pasjonującą. Cokolwiekby powie-



HALIFAX

artystę, spokrewnioną z głośnym ambasadorem Francji Jules Cambonem (biografia Cambona wyszła właśnie spod jej pióra), ma za sobą Sorbonę i Collège de France, studia nad archeologią, hieroglifami Egiptu i dziejami ludów semickich. Ale żyłka dziennikarstwa, olbrzymia ciekawość świata i nienawiść do pewnych form rządów i pewnych ras — zawiodła



SCHUSCHNIGG

Madame Tabouis na tory publicystyki. Startuje w r. 1924 w piśmie „La Petite Gironde”, gdzie daje sprawozdania z Ligi Narodów, potem przechodzi do „Le Petit Marseillais”, a od r. 1932 zasiła stale, jako redaktorka polityczna, „L'Oeuvre”.

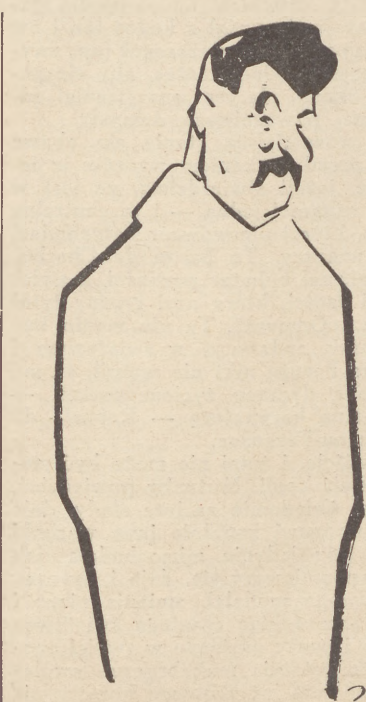
Jej pierwsza książka, wydana w języku angielskim „Blackmail or War” („Szantaż czy wojna”), rozeszła się w ciągu paru dni. Nie ulega kwestii, że powodem tego sukcesu jest zarówno tytuł tomu jak i nazwisko Madame Tabouis, która zawsze — jak mówi sama — „wysztrecza jakąś sensację”. Trzeba jednak przyznać, że o ile jej artykuły w „L'Oeuvre” są nieraz przejawem krawiennym, polując wy-

*) A Penguin Special. Blackmail or War. By Geneviève Tabouis. (Translated from the French by Paul Selver). With forty drawings by Joss of the „Star”. Harmondsworth, „Penguin Books”, 1938; str. 246 i 8nl.

Nawet emancypantka Madame Tabouis, parając się tak męskimi rzeczami jak polityka, nie traciła swojej kobiecości i daje przykłady rozbijającej kokieteryj nieświeżości. Opisując przyjęcie wydane na cześć Laval'a w Rzymie z okazji podpisania układu włosko-francuskiego, nie omieszcza wspomnieć o swojej rozmowie z Mussolinim: „Ma pani śliczną suknię, — powiedział do mnie Duce na przyjęciu, — nosi pani cudowne imię: Genowefa, ale zato pani artykuły o Włochach są bardzo nieładne”. Miałam wrażenie, że jest takim człowiekiem jak wszyscy inni i że jego postawa pełna brutalności, jaką zajął wobec wahającego się Laval'a, była w olbrzymiej mierze poza...”

Ale książka nie przynosi wyłącznie takich tylko emanacji wiecznej kobiecości. Madame Tabouis potrafi opowiedzieć anegdoty i plotki bardziej nieosobiste a niewątpliwie pikantniejsze. Najbardziej zastanawiające jest oświeślenie wypadków w Hiszpanii. Publicystka francuska dowodzi, że kontakty i konszachty włosko-hiszpańskie datują się już od r. 1924. Primo de Rivera marzył o imperium łacińskim, któreby zjednoczyło także 80 000 000 Hiszpanów rozsiadanych po świecie i m. in. w tym celu przybył do Rzymu, ażeby prosić papieża Benedykta XV o uwzględnienie w szerszej mierze kardynałów hiszpańskich w Św. Kolegium. Ojciec św. odpowiedział jednak bardzo dyplomatycznie hiszpańskiemu dyktatorowi: „Najdroższy synu, gdy papież mianuje kardynała, jest wtedy oświecony przez Ducha św. Powinieneś zatem żywić nadzieję, że Duch św. natchnie mnie po myśli twej prośby”. Primo de Rivera — dodaje Madame Tabouis — doznał rozczarowania, albowiem w czas jakiś Duch św. natchnął Ojca św. do nominacji szeregu kardynałów włoskich.”

Z okresu pobytu Primo de Rivery w Rzymie w jesieni 1923 r. pochodzi pierwsze — jak twierdzi Madame Tabouis — próby nawiązania porozumienia między faszyzmem a dyktatorską i rojalistyczną Hiszpanią. Kontakty te podejmuje później tajny wysłannik Mussoliniego Alfieri, który komunikuje się z hiszpańskim ministrem spraw zagranicznych Massia, piastującym kiedyś godność profesora prawa międzynarodowego w Madrycie a obecnie, w dobie wojny domowej, członkiem rady narodowej „Falangi” hiszpańskiej. Włosko-hiszpański traktat przyjaźni nie został nigdy ogłoszony ani też tekst jego nie został ujawniony. Madame Tabouis posuwa się do twierdzenia, że traktat ten



STALIN

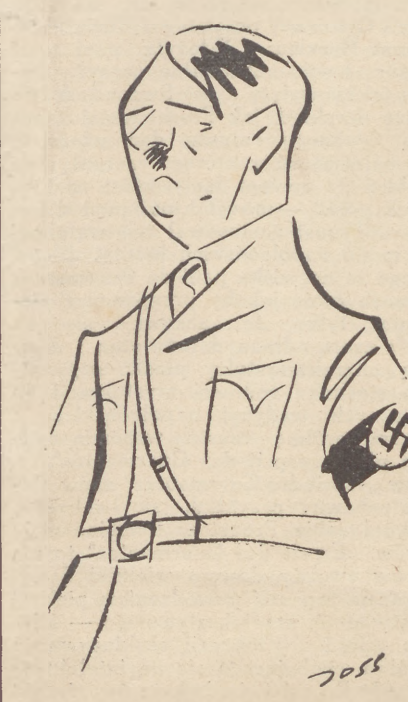
zawierał daleko sięgające i przewidujące klauzule:

„1) Włochy zastrzegają sobie na wypadek wojny z Francją prawo do ustanowienia i utrzymania bazy wojskowej na wyspach Balearskich; 2) Hiszpania podejmuje się na wypadek takiej wojny przeszkodzić przemarszowi wojsk francuskich przez Hiszpanię”.

Madame Tabouis przytacza dalsze dowody, że Włochy oddawna marzyły o obsadzeniu Balearów i co więcej — przewidywały od lat rewolucję jaka wybuchła dopiero w r. 1936 w Hiszpanii. W dniu, w którym obwołano republikę hiszpańską, „La Stampa” wystąpiła z artykułem, gdzie powiedziano wyraźnie:

„Prawdziwa rewolucja w Hiszpanii wymaga krwi i wynurzyć się może tylko z wojny domowej albo wojny z najeźdźcą”.

Publicystka francuska akcentuje fakt, że Włochy przygotowały zamach gen. Franco na bardzo długi czas przed latem r. 1936. Cytuje ona dokument z marca 1934 r. spisany w Rzymie przez wyślanika Ligi Tradycjonalistów don Rafaela Olazabala z przedstawicielami faszyzmu. Dokument ten przewiduje pomoc wojskową dla zamachowców. Dodajmy, że cytuje go również poważny publicysta angielski, korespondent „Manchester Guardian” G. T. Garrat, w swo-



HITLER

jej niezwykle ciekawej książce „Mussolini's Roman Empire” (Londyn 1938). Oboje, wychodząc z różnych punktów widzenia, dochodzą do identycznego wniosku, że kampania włoska i niemiecka w Hiszpanii jest starym planem, mającym na celu usadowienie się tych dwu potęg na półwyspie pirenejskim i zagrożenie stamtąd Francji i Anglii. Na poparcie swych tez wskazują dzieła niemieckie, gdzie wyraźnie powiedziano, iż zaszachowanie Francji od strony Hiszpanii unieruchomi Francję w jakiegokolwiek akcji wobec Niemiec, przecinając połączenia jej z posiadłościami kolonialnymi.

Madame Tabouis przytacza ciekawe szczegóły konferencji gen. Sanjurjo w Berlinie w dobie olimpiady, kampanię prohitlerowską w prasie hiszpańskiej, rolę Lizbony jako centrum skąd wyszły włosko-niemieckie natchnienia dla gen. Franco.

Poza aferą hiszpańską, która zyskuje w tomie Madame Tabouis zupełnie inne oświeślenie, aniżeli się to dzieje np. w prasie polskiej, gdzie się operuje schematem walki „bolszewików” z „faszystami”, najciekawszą partię stanowi opis zerwania Locarna. Zrezygnowały niemieckie mające na celu uspokoić opinię światową, że w Nadrenji nie jest tak niebezpieczne, rozbić i dezorientacja Francji, w oczekiwaniu Anglii — wszystko to zna-

zło na kartach tomu barwne i prawdziwe oświeślenie. Cała bezsilność dyplomacji współczesnej, która nie jest przygotowana do nowych zadań, całą ignorancję tej dyplomacji państw demokratycznych, stale bluffowanych przez państwa totalne, odsłania znakomicie ta prawdziwa historia.

„Dn. 6 marca 1936 r. w ambasadzie sowieckiej w Berlinie odbyło się wielkie przyjęcie dla sfer wojskowych.

potwierdzenie swej tezy wygrzebuje projekt szefa sztabu armii włoskiej w r. 1900 gen. Salety, który miał sugerować taką akcję słynnemu strategikowi niemieckiemu gen. von Schlieffen.

Oczywiście, pomimo takiej dokumentacji, można patrzeć sceptycznie na wniosek Madame Tabouis. Wadą jej studium jest m. in. to że bierze przyjaźń niemiecko-włoską jako sprawę na śmierć i życie. A jednak sama przytacza w swej książce zabawny incydent, który dowodzi, że obaj partnerzy nigdy sobie nadmiernie nie ufali:

„Przez agentów swoich dowiedział się



FRANCO

Miano wyświetlać film p. t. „Manewry armii sowieckiej na Ukrainie”. Najwyżsi oficerowie niemieckiego sztabu generalnego przyjęli zaproszenie na pokaz. Wszyscy zagraniczni attachés wojskowi przybyli do ambasady. Hiszpański attaché wojskowy mjr. Beigneder zjawił się w towarzystwie gen. Sanjurjo, który już wtedy omawiał z Rzeszą możliwości wywołania rewolty w Hiszpanii. Kupował także na kredyt w Niemczech broń. O godz. 17.15 sztabowcy niemieccy nadesłali zawiadomienie, że zatrzymani zostali, niestety, na skutek ważnych debat w kancelarii Rzeszy i dlatego proszą, ażeby zaczęto pokaz bez nich. O godz. 18 kiedy podano przekąski, gen. Schmidt, belgijski attaché wojskowy, odciągnął na stronę swego przyjaciela, ambasadora francuskiego, i powiedział mu: „W tej chwili zdecydowana została sprawa zajęcia strefy zdemilitaryzowanej. Niech pan to powie waszemu attaché wojskowemu a potem powiadomi mnie, co Francja o tem myśli”. Gdy francuski attaché wojskowy dowiedział się o tem, odrzekł: „Nonsens! Zajęcie Nadrenji nie jest takie proste. Niewątpliwie dojdzie do tego kiedyś, ale nie dzisiaj. Nie jesteśmy jeszcze w tem stadium”.

Historyczną naradę u kanclerza Hitlera, na której zdecydowano zajęcie Nadrenji, podaje Madame Tabouis w takiej wersji:

„Kancelarz rozproszył obawy wojskowych, którzy przypuszczali, że Francja zareplikuje na okupację Nadrenji: „Bardziej mi przykro, moi panowie, ale wasze informacje są fałszywe. Jeżeli myślicie, że Francja się ruszy, to się grubo mylicie. Dlatego nie trzeba nawet rozdawać amunicji naszym oddziałom. Wszystko odbędzie się bez jednego wystrzału”.

„A gdy gen. Fritsch upierał się dalej przy tem, że jednak Francja może się ruszyć, Hitler krzyknął: „Jeżeli Francja podejmie kontratak w momencie naszego wejścia do Nadrenji, to ja popelnę samobójstwo, a pan da rozkaz wycofania się”.

Madame Tabouis nie tai przekonania, że wszystkie posunięcia państw dyktatorskich wobec państw demokratycznych wygrane zostały właśnie w ten sposób: szantażem i zrzeczeniem zaszachowaniem. Ale metoda szantażu weszła w krew polityki państw dyktatorskich. Jeżeli zatem kraje demokratyczne, zbrojąc się coraz silniej i coraz jaśniej zdając sobie sprawę z istoty totalnego szantażu, zechcą brać mniej dosłownie pogróżki wojenne — rozgrywką między dyktaturą a demokracją stać się może nieunikniona. Państwa dyktatorskie nie będą bowiem mogły się już cofnąć, i szantaż trzeba będzie zastąpić wojną.

Madame Tabouis oblicza szanse tej wojny a jest nawet tak łaskawa na Polskę, że przydziela ją do grupy niemiecko-włoskiej. Upiera się ona przy twierdzeniu, że plany marszu niemieckiego przez Holandję i Szwajcarię istnieją i że spotkanie armii włoskiej i niemieckiej wypadnie — w Bernie szwajcarskim. Na

potwierdzenie swej tezy wygrzebuje projekt szefa sztabu armii włoskiej w r. 1900 gen. Salety, który miał sugerować taką akcję słynnemu strategikowi niemieckiemu gen. von Schlieffen.

Oczywiście, pomimo takiej dokumentacji, można patrzeć sceptycznie na wniosek Madame Tabouis. Wadą jej studium jest m. in. to że bierze przyjaźń niemiecko-włoską jako sprawę na śmierć i życie. A jednak sama przytacza w swej książce zabawny incydent, który dowodzi, że obaj partnerzy nigdy sobie nadmiernie nie ufali:

„Przez agentów swoich dowiedział się

potwierdzenie swej tezy wygrzebuje projekt szefa sztabu armii włoskiej w r. 1900 gen. Salety, który miał sugerować taką akcję słynnemu strategikowi niemieckiemu gen. von Schlieffen.



NEURATH

Mussolini, że ambasada niemiecka w Rzymie posiada zamkniętą w kasie ogniotrwałą grubą tekę skórzaną zawierającą dokumenty dotyczące tajnych kontaktów ambasadora niemieckiego z wybitnymi Włochami. Ambasador niemiecki, którym był wówczas baron von Neurath, został jednak uprzedzony na czas przez niemieckich wywiadowców, że Mussolini po-



RIBBENTROP

lecił swoim agentom dostać się przy pomocy podrobionych kluczy do gmachu ambasady w nocy, rozbić kasę i porwać cenną tekę. Baron von Neurath usunął kuszące dokumenty z teki, wsadzając do niej puste karty. Później zasiadł wieczorem z całym sztabem ambasady, który uzbrojono w oczekiwaniu na gości. O godz. 2 nad ranem drzwi gabinetu uchylili się, i dwie zamaskowane postaci wślizgnęły się do pokoju. Otworzyły one kasę podrobionym kluczem i zabrały tekę. Natychmiast otoczono ich i rozbrojono. Okazało się, że gośćmi byli dwaj urzędnicy tajnej policji włoskiej...”

Plotki, bajeczki — a może coś więcej? Polityka dzisiejsza schodzi coraz bardziej na manowce detektywistki, szantażu, rozbój i szpiegostwa.

Kto wie zatem, czy w plotkach Madame Tabouis niema więcej prawdy, aniżeli na pierwszy rzut oka możnaby przypuszczać...

Zbigniew Grabowski.

MARJA JASNORZEWSKA (PAWLKOWSKA)

DO WENUS

I

Biała Wenus jest dzisiaj jak narcyzy,
Królujący w niebie, wszędy otwarty.
Słońce sieje blask, ona: namiętność.

Starożytni, uprawiając niebo
Medytacja cierpliwą i niemą,
Rozróżnili jej miłosne piętno.

Więc w ogrodzie, pośród gwiazd zamieci
Czoło ku niej odchyłam: niech świeci
W myśli moje.

Niech mnie czyni piękną.

II

Ogród w zapach, niebo w gwiazdy się stroi...
Odeszliście, zimni, gwarni, nieswoi,
Wy, którzy mnie z samotnością swatacie...

Patrzę w niebo:
Oto Wenus wschodząca —
Jak miłosnych uś gwiazda,
Płonąca
Dla mnie, co jestem z ziemią w rozbracie...

BZY ZERWANE W NOCY

Obudziłaś nas! Ach ileż gwałtu,
Ileż rosy nawalne!
W niemożności wydania krzyku!

A było właśnie tak cicho,
Powiew nas huśtał astralny,
I wydychaliśmy tajemnicę gwiazd
Ośrodkami naszych krzyżyków...

Marja Jasnorzewska (Pawlikowska).

TADEUSZ ŻELEŃSKI (BOY)

MODELE PROUSTA

POSZUKIWANIA „KLUCZA”

Dzieło Prousta, jak „Komedia ludzka” Balzaka, powołało do życia cały świat, całe społeczeństwo, mniej liczne niż balzakowskie, ale obdarzone równie samostnem i natężonym życiem. Można powiedzieć, że czytelnicy Prousta uwierzyli w ten świat. Autobiograficzna forma opowiadania zwiększa jeszcze wrażenie bezpośredniej prawdy: jakoż, jeszcze nie ukazały się wszystkie tomy „Poszukiwania straconego czasu”, a już powtarzające się w nich postaci traktowane były przez publiczność jako dobrzy znajomi, których przyszłe losy starano się odgadnąć, o których mówiono jak o żywych osobach. Każdy nowy tom, przynosząc rewelacje i niespodzianki, podsycał żywotę tego stosunku.

Równocześnie, „prawdziwość” figur Prousta wydała ten skutek, że od początku szukano dla nich autentycznych pierwowzorów. Kto jest pani de Guermantes? kto pani de Villeparisis? kto Bloch? (może Brunschwig? może Blum? — zgadywano) kto Swann? i t. d. I równocześnie z pytaniami obiegaly odpowiedzi. Jeszcze dziś zdarza się spotkać w Paryżu podstarzałego i podpadłego młodego (niegdys) człowieka, który szuka pozycji społecznej w tem że jakoby był modelem świetnego Roberta de Saint-Loup.

Niekiedy zapytano o to Prousta wręcz. Częściej jeszcze dochodziło go echa uraz i pretensyj, wzniesionych jego rzekomo niedyskrecją. Zaprzeczał tym analogiom. Ale w takich razach zwykłe autorowie przeczą, taki jest obyczaj... Spróbujmy pokrótce oświetlić te kwestje, dosyć skomplikowaną, rzucającą ciekawe światło na mechanizm twórczości wogóle; zarazem kwestję, która i u nas już interesuje pierwszych polskich czytelników Prousta.

„Niema klucza do osób w mojej książce, — pisze Proust w liście do Lacre-telle’a, — albo też jest ich osiem lub dziewięć dla jednej osoby; tak samo dla kościoła w Combray pamięć moja dostarczyła mi za modele wiele kościołów...”. Poczem Proust — dla przykładu — wyszczególnia motywy, które złożyły się na słynną „petite phrase” z sonaty Vinteuila — od sonaty Saint-Saënsa aż do tremolo z „Lohengrina”; i monokle, które pozwały do galerji monokłów na rauce u pani de Saint-Euverte, i pewne rysy prawdziwych osób, które dostarczyły tego lub owego szczegółu dla Odety, dla pani Verdurin i in. I to wszystko. Czy w istocie wszystko?

MODELE I MALARZ

Jedną z figur, których tożsamość najszybciej ustalił głos ogółu, był Swann, którego zidentyfikowano ze znanym klubowcem Charles’em Haas. Ale kiedy jedna z korespondentek autora użyła, mówiąc o Swannie, wyrażenia „Swann-Haas”, Proust protestuje, że Swann to nie jest Haas, i jeszcze raz stwierdza, że w jego dziele niema nigdzie kluczy ani portretów. Zato w jednym z późniejszych tomów tegoż dzieła zwraca się nagle wprost do nieżyjącego już oddawna Haasa w takiej inwokacji: „...ty, którego znałem, kiedy byłem jeszcze dzieckiem a ty tak blisko grobu, jeżeli zaczynają mówić ci tobie i jeżeli może będziesz żył, to dlatego, że ten, którego musiałeś uważać za małego głuptasa, uczynił ci bohaterem swojej powieści. Jeżeli przed obrazem Tissota, przedstawiającym balkon klubu przy ulicy Royale, gdzie znajdziesz się między Gallifetem, Edmundem Polignac a Saint-Maurice, tyle się mówi o tobie, to dlatego, że wiadomo jest, iż kilka rysów z ciebie weszło w figurę Swanna”.

Otóż, dobrze znany paryżanom obraz Tissota przedstawiał właśnie, w towarzystwie wymienionych osób — Haasa.

Czy sprzeczność? Nie. Bo Proust mówi wyraźnie: „kilka rysów”. I to jest wskazówką, jak trzeba brać sprawę jego pierwowzorów. Bo w istocie ten Haas, uchodzący za najpewniejszy z modeli Prousta, rzekomo sobowrót Swanna, ma, ściśle biorąc, dość mało wspólnego ze Swannem. Zapewne, niezwykła karjera światowa Haasa, Izraelity zadomowionego w najbardziej zamkniętych — wówczas — klubach i salonach, dostarczyła punktu wyjścia dla figury Swanna. Ale ta światowa karjera Swanna odbywa się niemal poza ramami powieści, którą wypełnia inny Swann — esteta i kolekcjoner, Swann kochanek Odety, Swann mąż i ojciec, Swann w swoich metamorfozach, nie już nie mających wspólnego z Haasem, który w dodatku był niezamężny, gdy Swann jest bogaczem. Haas był tu jedynie punktem, dokoła którego skryształizowała się koncepcja twórcza Prousta.

Podobnie, zdawałoby się, daje Proust w pewnym momencie klucz do figury pisarza Bergotte, bodaj w aluzji do przedmowy, jaką Bergotte napisał do pierwszej książki autora. Otóż przedmowę do pierwszej książki Prousta napisał Anatole France, i w istocie Bergotte ma wiele jego rysów. Niemniej Bergotte nie pokrywa się bez reszty z Anatolem France; rysy jego skombinowane są z rysami dostarczonemi przez innych. Jeszcze bardziej złożony w swoich „źródłach” jest malarz Elstir, na którego złożyli się Monet i Renoir i Degas i Helleu i inni, aby zeń uczynić syntezę francuskiego impresjonizmu. Podobnie pani de Guermantes, pani de Villeparisis i inne postaci. Ale trzeba stwierdzić, że o ile modele Prousta są zazwyczaj złożone, o tyle niema chyba w jego utworze postaci, dla której świadomi nie umieliby znaleźć modelu.

Jest książka o Prouście, pióra baro-

na de Seillière, znanego krytyka i moralisty. Świadectwo jego jest o tyle cenne, że należąc do towarzystwa, które wypełnia znaczną część dzieła Prousta, większość jego domniemań modeli mógł znać osobiście. Seillière obchodzi ten świat krok w krok za Proustem i izaica mimochodem informacje, najczęściej spowite dyskrecją inicjałów a potwierdzające dwie rzeczy: że Proust zawsze malował z utrwalonego w pamięci modelu i że z wyjątkiem może kilku postaci drugoplanowych, do których często brał żywcem jakąś figurę, zawsze rysy kilku osób kombinowały się w jednym portrecie. „Mimo to, — pisze Seillière, — kiedy się znało tę epokę i środowisko w którym żył, dość łatwo jest rozróżnić częściowe składniki, które weszły w skład jego głównych figur”.

SEKRETY TWÓRCZOŚCI

Stwierdzenia te nie są tylko zaspokojeniem ciekawości mniej lub więcej plotkarskiej; przeciwnie, wnioskują one głęboko w stosunek Prousta jako pisarza do rzeczywistości. Ten autor najbardziej depczący i gwałcący realizm powieściowy w zwykłym znaczeniu słowa (sam Proust z satysfakcją stwierdza, że nie znajduje się w jego dziele ani jednego rysu, któryby był jedynie odtworzeniem rzeczywistości, bez wtopienia jej w myśl twórczą: „nikt — powiada — w moim utworze nie wkłada pałta i t. d.”), stale szuka punktu wyjścia w rzeczywistości. Pod tym względem — na co zwraca uwagę Lacre-telle — stosunek Prousta do świata pokrywa się nie jako z czołowym wypowiedzianem przez Balzaka w przedmowie do jednego z członów „Komedji ludzkiej”:

„Książki, — powiada Balzac, — których przedmiot jest całkiem fikcyjny, które się nie wiążą w bliższy lub dalszy sposób z żadną rzeczywistością, to są prawie książki martwe od urodzenia; podczas gdy te, które się wspierają na faktach zaobserwowanych, wziętych z rzeczywistego życia, dostępują zaszczytu długowieczności”.

Nie odrazu uświadomił sobie Proust swój stosunek do tego tworzywa i swoje powołanie pisarskie. Dzieje owego szukania drogi przewijają się przez jego dzieło. Przez wiele lat rozpięła go twórczość bez przedmiotu, darennie siłując się znaleźć sobie „temat”; dopiero od chwili gdy zrozumiał że tematem jego jest poprostu wywołanie z mroków podświadomej pamięci to co widział i przeżył, wówczas ten dotychczasowy długoltni improduktwy zaledwie mógł nadać się natłokowi materiału i parciu twórczości. Pozbawiony wyobraźni w banalnym pojęciu słowa, poksi siłił się „wymyślać”, cierpiał na bezpłodność; kiedy zrozumiał, że zadaniem jego jest poprostu odtworzyć to na co patrzył, znalazł siebie.

I kiedy mowa o modelach Prousta, trzeba zacząć od modelu, którym jest — on sam. Jest rzeczą dość znaną, że dzieło jego ma charakter autobiograficzny, że włożył w nie swoje dzieciństwo, z ojcem, matką, rodziną, miejscem gdzie spędzał wakacje. I tu wprawdzie kombinują się wzory, jak np. w owem Combray (w rzeczywistości Illiers), które wchłonęło w siebie również pewne rysy życia rodzinnego w Passy pod Paryżem, w posiadłości wujecznego dziadka. Gdy chodzi o osobę bohatera, nie powinny nas mylić wypowiedzi Prousta, który to bro ni się przeciw utożsamianiu jego bohatera z nim samym, to znów identyfikuje go sam tak ściśle, że daje mu własne imię, przypisuje mu własne artykuły literackie i niewątpliwie epizody swego życia. Wskażę później, jakie Proust miał powody, traktując tematy często drażliwe, zacieraąc ślady swojego autentyzmu. Chodzi zresztą o interpretację. Kiedy Proust powiada, że niema w jego utworze ani jednego faktu któryby nie był fikcyjny i ani jednej osoby „z kluczem”, możnaby z drugiej strony powiedzieć, że niema tam bodaj ani jednego szczegółu, któryby nie był autentyczny i ani jednej osoby bez klucza... tylko że kombinowanie tych kluczy i przetasowanie faktów maskuje to co jest samą prawdą. Niech wystarczy jeden przykład na to, jak dalece Proust musiał brać wszystko z faktów; do jakiego stopnia cierpiał wręcz na obsesję autentyzmu. Proust ubóstwiał matkę, śmierć jej była najcięższym ciosem w jego życiu. I w liście swoim, pisanym tuż po jej śmierci do pani de Noailles, opisuje jej agonję z tak brutalnym weryzmem, że pani de Noailles uczuła się zgorszona, razilo ją to. W wiele lat później znalazła ten opis, nie miał w identycznej formie, w tonie, gdzie Proust opisuje śmierć babki („Stro-na Guermantes”). Najukochańsza matka, której śmierci nigdy nie miał przeboleć, umierając, pozowała do fragmentu jego dzieła. Któż wobec tego mógłby uniknąć roli jego modelu?

ANECDOTY ZAANEKTOWANE

Możnaby podać i lepsze przykłady tego autentyzmu. Robi to wprost wrażenie, że Proust wszystko musiał brać „z modelu”, że brak mu było inwencji — znówu w banalnym pojęciu słowa, a raczej że jego inwencja wyrażała się w doborze i spożytkowaniu materiału... Czytając te i owe pamiętniki z jego epoki, razporaz spotykałem jakąś anegdotę, jakieś powiedzenie, które widocznie Proust zasłyszał i które zamagażynowa-wszy w swojej niezawodnej pamięci, odnalazł we właściwym momencie, aby je wmontować we właściwe miejsce. Sława-ne: „Przesadzają, przesadzają” — wykrzyknik księcia de Guermantes („Sodo-

W numerze wielkanocnym „Wiadomości Literackich” nowy konkurs:
„MUZEUM PANA GRYPESA”

ma i Gomora”), kiedy natrętni krewni chcą mu oznajmić o śmierci kuzyna w chwili gdy książkę wybiera się na redutę i wolałby się o tej śmierci dowiedzieć aż jutro, wzięte jest widocznie z opowiadania Roberta de Montesquiou, bo spotykamy je później w jego pamiętnikach których zresztą Proust nie mógł znać. Tylko że Proust z tej dość niezdarnie opowiedzianej anegdoty robi niezapomniane arcydzieło, na miarę Moljera. Powiedzenie starego Swanna o zmarłej żonie: „Myśle o niej, ale nie mogę myśleć o niej dużo naraz”, to transpozycja powiedzenia znajomego Prousta, pani d’Aubernon (cytowanego we wspomnieniach Bleda, których też Proust nie znał). Ta pani d’Aubernon, po śmierci matki którą ubóstwiała, mówiła: „Zaluję jej, ale nie dużo naraz”. Cytowany przez tegoż Bleda komplement Hervieu: „Włożyła pani dziś wieczór swoje aksamitne oczy” wygląda jakby wyjęty z ust Swanna. A oto jeszcze przykład, jak Proust umiał zapożycować drobnego retuszu dać właściwy sens materiałowi, z którego czerpał. „Idę na obiad do pewnej damy, która nazywa się jak góra” — mówił ktoś o pani d’Aubernon. Proust zastosował ten wątpliwý dowcip do napoleońskich ksiądz d’Éna, którego to nazwiska pani de Guermantes nie może sobie jakoby przypomnieć, pamiętając tylko, że „nazywają się jak most”; czem odrazu dał świetną i dowcipną charakterystykę płasko-wzgardliwego stosunku rodowej arystokracji do heroicznych tradycji napoleońskich, a zarazem próbkę często wspomnianego przez niego „esprit des Guermantes”.

Ow „esprit des Guermantes” znów stanowi zabawny przykład, jak swobodnie poczynął sobie Proust w kombinowaniu wzorów. „Esprit des Guermantes” to ma być ów swoisty dowcip wielkiej damy, a zarazem zepsute powiedzenie pięknej kobiety; duch arystokratyczny — i jeszcze wśród arystokracji ekskluzyjnego — kółka, snubującego się na intelektualizm. Ale Proust twierdził, że ów „świat” jest tak głupi, że niepodobna w nim znaleźć próbek dowcipu, jakiego potrzebował w zagęszczonej formie. Toteż bez ceremonij włożył w usta księżnej de Guermantes wiele powiedzeń pani Straus, z domu Halévy (córki autora „Żydówki”), a żony w pierwszym małżeństwie Bizet’a, autora „Carmen”), osoby słynnej z dowcipu; tak że w rezultacie, kosztą dowcipu charakterystycznego arystokratycznej damy z gotąjskiego almanachu opęda osoba z plutokratyczno-artystycznego semickiego świata. Tak np. pani Straus jest autorką dowcipu księżnej de Guermantes o fanatykach niesympatycznego dla wszystkich Dreyfusa, któryby chętnie „zmienił niewinnego” i t. p. Pod tym względem sam Proust daje świadectwo w liście do pani Straus. „Spotkają — pisze do niej — w „Stronie Guermantes” Pani powiedzenia, z których tak się śmia-li kiedy im je opowiadałem i które kładę w usta księżnej de Guermantes (jej czerwone pantofelki odnajdzie Pani aż w następnym tomie), nie wymieniał pan, skoro mnie Pani prosiła aby nie dawać Pani nazwiska... Ale każdy zna te powiedzenia i wskaże nazwisko”.

Oto więc przykład i autentyzmu Prousta i jego metod transpozycji. Możnaby mnożyć te przykłady. Tak np. elementy rozkosznych dywagacji pana de Norpois na temat toaistu króla Teodorzusa możnaby znaleźć w książce Arthura Meyera („Ce que je peux dire”) w rozdziale traktującym o wizycie cara Mikojana, o wznoszonych toastach i o przy-czynach nielaski ambasadora Montebello, twórcy zbliżenia francusko-rosyjskiego. I wiele komunałów pana de Norpois odnalazłoby się w stylu tego redaktora „Gaulois”, którego wspomnienia ukazały się w porze gdy Proust wykańczał do druku tę część swego dzieła.

Przykładem sposobu, w jaki Proust umiał wyżyłować swoje modele, może być księżniczka Matylda Bonaparte, w której salonie młody Proust był częstym i ulubionym gościem. Ceremonja przyjęcia tej napoleońskiej księżniczki posłużyła mu jako model etykiety księżnej Parmy, kuzynki Habsburgów; ale równocześnie młodym bohater, towarzysząc pani Swann, („W cieniu zakwitających dziewcząt”), spotyka w ogrodzie zoologicznym żywą księżniczkę Matyldę, która w ciągu kwadransu rozmowy wytrząsa liczne autentyczne anegdoty o sobie i swoje znane skądinąd powiedzenia.

Wszystko to sprawia, że dla francuskich zwłaszcza czytelników powieści Prousta, niezależnie od swoich wspaniałych wartości jako dzieła sztuki, jest równocześnie jak gdyby bogatym filmem epoki, wskrzyszającym ludzi i wypadki, mieszącym postaci autentyczne z fikcjami, w których znówu każde słowo, styl, sposób mówienia różnych osób, jest dokumentem. Tem się tłumaczy że gdy z jednej strony zestawiamy dzieło Prousta z „Komedią ludzką” Balzaka, z drugiej strony równie często zestawiano je z pamiętnikami Saint-Simona (z epoki Ludwika XIV), opartymi na naocznie oglądanych przez autora faktach.

CZY WIERZYĆ PROUSTOWI?

A teraz kilka słów o tem, czemu własne wypowiedzi Prousta w sprawie jego modeli trzeba brać z pewnem zastrzeżeniem i jakie on miał szczególne powody,

aby się bronić przeciwko szukaniu „kluczy”. Bo zważywszy, iż Proust zazwyczaj znał dalsze koleje postaci, której czytelnicy znali dopiero początki, i wiedział często, że rysy jakimi ją obdarzył w przyszłości, mogłyby być przykre dla modelu. On, tak uprzejmy, tak delikatny, znajdował się często w obliczu faktu, że przyjdzie mu kogoś dotknąć lub zranić, zwłaszcza że w miarę narastania dzieła, spojrzenie jego na świat, w którym spędził młodość, — „tracąc czas”, tak wspaniale potem „odnaleziony”, — stawało się coraz surowsze. Jako artysta nie cofnął się przed korzystaniem z całą swobodą z tych co mu pozowali bezwiednie, ale zapewnieniami, jakie mnożył w listach i w druku, starał się odwrócić uwagę od tych podobieństw. Aby tem lepiej zmilić słady, przynajmniej, że wziął z kogoś ten i ów autentyczny ale błahy szczegół (np. zwyczaj księcia de Guermantes, aby się go-lić przy oknie), ale tem energicznie od-piera inne, poważniejsze domysły.

Tem zrozumiała stanie się obawa Prousta przed szukaniem wzorów w jego dziele, jeżeli stwierdzimy, że jest w niem co najmniej jedna — i to centralna — figura, której pierwowzór natychmiast poznali wszyscy. To baron de Charlus, główny niemal bohater powieści, a zwłaszcza tej części, która nosi groźny tytuł „Sodoma i Gomora”. Tu nie mogło być wątpliwości; zwłaszcza w światowym i literackim Paryżu nikt nie wątpił, że ma przed sobą dyszący życiem portret — czy genialną karykaturę — Roberta de Montesquiou-Ferencsac.

Oczywiście, i tutaj nie może być mowy o jakiejś kopji. Można by powiedzieć, że Proust świadomie zaciera ślady, daje swemu baronowi zupełnie inne warunki fizyczne (jak jedynie mimochodem, jak gdyby zapomniawszy się, daje i fizyczny portret swego modelu), zmienia nieco i jego pozycję, robiąc czystego światowca z pisarza i poety głośnego w swojej epoce. Także ostatnia makabryczna ewolucja barona jest już zapewne konstrukcją wyobraźni. Niemniej faktem jest, że każdy kto znał pierwowzór a czytał Prousta, w wybuchach barona de Charlus słyszał poprostu głos hr. de Montesquiou.

Miało to jeszcze jedną specjalną przyczynę. Proust był genialnym imitatorom. W towarzystwie wyciągano go na imitację różnych osób, których głos, sposób mówienia, styl, naśladował w sposób nieopisanie trafny, komponując całe scenki na ich rachunek. Te imitacje, to były już szkielety do przyszłego dzieła; one tłumaczyły że subtelna przezyce ocenił w zachowaniu właściwego języka i sposobu mówienia każdej z figur. Otóż, wśród imitacji Prousta arcydziełem była imitacja hr. de Montesquiou, w którego Proust umiał się wcielić tak doskonale, że poprostu w monologach swoich i scenach kontynuował jego życie, wchodził w jego skóre.

Byłoby ironją losu, gdyby właśnie ta rola modelu zapewniła panu de Montesquiou trwanie w literaturze francuskiej, naprzekór glorii poety, jaką był to zbyt inteligentny. Toteż w miarę jak się ukazują dalsze części dzieła, Proust jest coraz bardziej niespokojny. Stara się od-wlec chwilę, w której wypadnie mu po-słać hrabiemu egzemplarz świeżo wyszłych nowych tomów. Mimo że już oddawa odczyty od świata, lękał się może urazy i pomsty hrabiego, który — jak baron de Charlus — reakcje miewał nader gwałtowne.

UNIWERSALNY MODEL

Bo nie pierwszy to raz przyszło hrabiemu pozować do portretu. Wiadomo było w swoim czasie, że książę des Esseintes, bohater głośnej powieści Huysmansa „A rebours” (1884), robiony jest z tegoż Montesquiou, wówczas młodego „dekadenta”. Przypomnę w kilku słowach tę powieść, która była w swoim czasie bardzo głośna i zapłodniła w pewnej epoce wiele utworów i wielu autorów, u nas także („syfilityczne orchidee”) i symfonie drogich kamieni Przybyszewskiego). Młody przeżyty magnat-dyletant odcina się od świata, aby w specjalnie dla niego zbudowanym domu żyć zupełnie samotnie, przenosząc życie w kategorię wyrafinowanego estetyzmu. Transponuje muzykę na zmysł zapachu i smaku, komponuje symfonie z perfum, wygrywa na języku melodie kąpiąc nań kropkami wybredne likiery, modli się w sonetach Baudelaire’a, zagłębia się w sata-nizm, uwielbia malatury Gustave’a Moreau i arcydzieła Goyi, spłi w dzień, żyje w nocy, i w końcu dochodzi z swym „arebourismem” do takiego stanu, że musi się odżywiać a rebours... Jeden zwłaszcza rys miał być skopjowany z życia i czynów hr. de Montesquiou. Des Esseintes ma wielkiego żółtawia, którego oddaje do jubilera, aby skorupe jego wyinkrustował drogiemi kamieniami. Skorupa była piękna, ale żółtawie zdechł.

Ten sam Montesquiou pozował potrochu do figury Passeventa w „Falszyczach” Gide’a; mignie gdzieś jego profil w powieści Duhamela, wypełnia sobą literaturę i malarstwo (portretowany był przez wszystkich mistrzów pędzla), jak przez kilka dziesiątków lat ten arbirer elegancji i wspaniałości w świecie Paryża. Przyjaciel d’Annunzia, przyjaciel Sary Bernhardt i Eleonory Duse, urzędują w

swaim parku fety, gdzie największe aktorki deklamują jego poezje. Bohaterem tych biesiad duchowych był zwykły jakiś efeb, często służący mu za sekretarza, jak ów wierny Iluri, którego śmierć Montesquiou oplakiwał w sposób wzruszająco teatralny. Królowa mody, hrabina Greffulhe, dała hrabiemu swoją fotografję z podpisem: „Zrozumiały mnie tylko dwie istoty: Pan i słońce”. Jego znówu jubileusz Sary Bernhardt natchnął do określenia: „Srebrne wesele złotego głosu”. Szczególne uznanie świata zyskał mu fakt, że kiedy syn poety Mallarmego był umierający, Montesquiou posłał mu w złoczonej klatce egzotycznego ptaka... jako ostatnie namaszczenie. W takich pomyślach wyżywał Montesquiou skarby swojej duszy. Taka była epoka.

Montesquiou był o szesnastu lat starszy od Prousta, był głośnym poetą, królem salonów, wówczas gdy Proust był nieznanym młodziekiem z mieszczańskich sfery, łakącym do tych salonów wstępu. Montesquiou stał się przedmiotem jego adoracji, jego przewodnikiem w świecie, do którego utworzył mu przystęp, jego mentorem. I niewątpliwie — jak świadcza osoby znające blisko ich obu — młody Proust wiele zawdzięczał swemu starszemu przyjacielowi, nie tylko jako przyszły malarz tego modelu. Listy jego do hrabiego Roberta tchną złagodzoną żartobliwym tonem ale szczerą adoracją, która czasem dopiero przy-bierze leciutko drwiący odcień.

„MAŁY PROUST” I WIELKI MONTESQUIOU

Bo stopniowo zmieniają się proporcje tych ludzi. Ku zdumieniu, a ponieważ i irytacji hrabiego, „mały Proust” zaczyna mu wyrastać nad głowę. Powojenne lata przynoszą Proustowi urzędową konsekrację, a niebawem, jeszcze za życia, światową sławę, podczas gdy dekadencja muza hrabiego, mimo że odmładza się zastrzykami krwi ze świeżych pobojowisk, mocno już przywydła. I pod koniec życia ich obu — Montesquiou umarł na rok przed Proustem — twórca „Charlusa” stał się potrosze protektorem swego dawnego mentora.

Jak się stało, że figura barona de Charlus nie położyła końca tej przyjaźni? Poczęć ta, że baron de Charlus nie objawia się w powieści odrazu, odsłania się stopniowo. W pierwszej części dzieła („W stronę Swanna”) jest on komparsem, ówczesna jego rola dopiero później zyska oświetlenie. W drugiej części („W cieniu zakwitających dziewcząt”) rysuje się w mistrzowskim opisie spotkania przed kasynem. I tu już Proust — który zna oczywiście przyszłą ewolucję barona — ma nieczyste sumienie, stara się uprzedzić czujność swego modelu. W liście do pana de Montesquiou, jeszcze raz upewniając że dzieło jego nie ma żadnych kluczy, robi wyjątek dla... pana de Charlus, pisząc: „W chwili gdy pan de Charlus patrzy na mnie bystro i ukradkiem koło kasyna, pomyślałem przez chwilę o nieboszczyku baronie de D... który był dosyć w tym rodzaju”.

Złożył wszystko na nieboszczyka, stworzył sobie takie alibi, to było sprytne; ale trudno przypuścić, aby pan de Montesquiou dał się oszukać; był na to zbyt inteligentny. Toteż w miarę jak się ukazują dalsze części dzieła, Proust jest coraz bardziej niespokojny. Stara się od-wlec chwilę, w której wypadnie mu po-słać hrabiemu egzemplarz świeżo wyszłych nowych tomów. Mimo że już oddawa odczyty od świata, lękał się może urazy i pomsty hrabiego, który — jak baron de Charlus — reakcje miewał nader gwałtowne.

I lękał się może nie bez powodu. Bo pan de Montesquiou, który ze swej strony niespokojnie obserwuje Prousta i ewolucję jego bohatera, podejmuje pisanie swoich znówu pamiętników. Te pamiętniki, których Proust oczywiście nie zna a w których mógł się obawiać swojej roli, bardzo go niepokoją. I bardzo proustowska jest sytuacja, gdy ci dwaj ludzie — obaj już naznaczeni piętnem śmierci — obserwują się bacznie a nieufnie. Choroba i rychła śmierć hrabiego rozwiązała sytuację.

Tak iż można zaryzykować twierdzenie, iż uporczywe dowodzenia Prousta, że jego dzieło nie ma modeli, jego kierowanie uwagi na drobne rysy zewnętrzne a odsuwanie jej od istotniejszych, ma za główną podbudkę jego nieczyste sumienie wobec przyjaciela.

CHARLUS ZZA GROBU

Pamiętniki pana de Montesquiou („Les pas effacés”, 3 tomy) ukazały się w r. 1923, kiedy Proust już nie żył. Wspominałem że się niepokoił niemi; przed śmiercią uspokojono go, że pamiętniki te ukazały się przejrane i złagodzone w tem co ewentualnie mogłoby tyczyć znajomych osób. Faktem jest, że poza dość kwasnym zdziwieniem sławą i pozycją artystyczną Prousta, niewiele nam te zwierzenia przynoszą o samym Prouście.

Pamiętniki te sprawiają zresztą pewne rozczarowanie. Możnaby o nich powiedzieć to co sam Montesquiou mówi o Bourgeoisie: że „wie rzeczy interesujące, ale to nie są nigdy te które mówi”. Mimo to czyta się je z zainteresowaniem, głównie jednak... jako komentarz do figury barona de Charlus. Bo Montesquiou, pragnąc pamiętnikami swemi odeprzeć tę figurę, którą z pewnością uważał za niecną potwarz i chcąc fałszywy wizerunek zastąpić prawdziwym, jakże potwierdza mimowolnie ten nieśmiertelny portret, który ma szansę na wieki przetrwać oryginalną. Mimowolnie czytamy jako dalszy

ciąg barona de Charlus te wywody genealogiczne pamiętnikarza, wiedące ród hrabiów de Montesquiou od Merowingów, i drobniagowe roztrząsania, czy przodek jego miał prawo się mienić kuzynem króla. A czyż nie jest typowym „baronem de Charlus” ów sen pana de Montesquiou, w którym zmarły ojciec jego zjawia mu się we śnie i powiada: „Drogiu i ukochane dziecko, niezrozumiane, niestety! byłeś dobry, szlachetny i genialny; ja byłem niczem, ale byłem niesprawiedliwy i okrutny wobec ciebie... Twój biedny ojciec, który cię błogosławił i podziwiał, błaga cię o przebaczenie...” Albo tam, gdzie pisze o jakimś pianistefaworycie, że „zabiegał o przynależenie do mojej osoby...” A we wszystkim, co wyszło spod pióra Prousta, najbardziej uderza barona de Charlus... przepraszam, hr. de Montesquiou urzynek z jego listu, w którym — powiada — Proust napisał „najzamienniejsze ze wszystkich zdań, jakie mi poświęcił współczesni. Oto ono: „Wznosi się Pan ponad wrogość, jak wielka mewa ponad huragan, i brzkowałoby Panu czegoś, gdybyś był pozbawiony tego ciśnienia ku górze”.

„Gdyby człowiek który napisał to zdanie — dodaje z boską naiwnością pan de Montesquiou — zawsze utrzymał się na tej wyżynie i gdyby napisał całą książkę z tą przenikliwością i tym stylem, książka taka byłaby arcydziełem... Nie napisze jej, jest zawsze chory, a przynajmniej zawsze w łóżku, otoczony aparatami do inhalacji przeciw astmie, obłożony konfiturami i nocnikami...”

Czyż to nie jest czysty baron de Charlus? Ale nie ciągle jest taki; dlatego autentyczny Montesquiou wydaje się nam tu najczęściej bładą odbitką Charlusa; wciąż chciałoby się go poprawiać Proustem, tak jak Słonimski poprawiał w żywe oczy Franca Fiszerka, którego robił lepiej od niego samego.

WIDMO ODETY

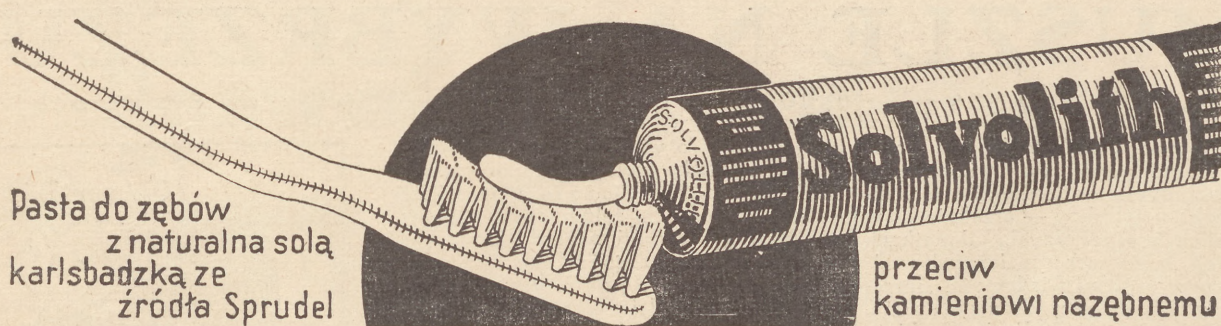
Jest jeszcze druga historia modelu, naznaczona ścią proustowską melancholią ironją rzeczy. To nieoczekiwany i spóźniony wypad rzekomego pierwowzoru Odety.

Kto pozował do Odety? Wszystkie i żadna. Złożyło się na nią zapewne sporo kobiet; jedna dała jej sposób ubierania się, druga urządzenie mieszkania, inna angielszczyznę, inna sukcesy snobizmu i późne księżące parantele... Sam Proust wspomina, że do Odety w Lasku Bułońskim „pozowała” mu głośna kokotka Closmesnil, ale tylko w pewnym momencie. (Znów możnaby tu dać przykład, jak bardzo fikcja Prousta trzymała się blisko rzeczywistości, a równocześnie jak ją kombinowała swobodnie. Mianowicie obawy Swanna o zły wpływ młodego Marcela na Gilbertę („W cieniu zakwitających dziewcząt”) to są autentyczne obawy pana Straus o zły wpływ samego młodego Prousta na jego rówieśnika, młodego Bizet, syna pani Straus z pierwszego małżeństwa. Tak więc, Swann z Haasa staje się tu Strausem, a wszystkie emocje związane z wnikiemiem Prousta w dom Swannów są transpozycją jego stanów duszy, kiedy mu dane było wejść w dom pani Straus). Może było coś w Odecie z Laure Heyman, wyskokłaśnej kokotki-intelektualistki, która posłużyła Bourgetowi za model do jego „Gładsy Harway” a której młodzieńki Proust był pazurem w latach 1892 - 1893. On towarzyszył jej do magazynów i uczył się od niej elegancji kobiecych, którym tyle kart miał poświęcić w swoim dziele, ona zaś, rozbawiona jego przenikliwością i wdziękiem, nazywała go „mon petit Saxe psychologique”.

Upływa lat... bezmała trzydzięści. Proust oddawna stracił Laure Heyman z oczu. Już sporo czasu minęło od chwili gdy ukazały się pierwsze tomy „Swanna”, parę lat od czasu jak „Dziewczęta” rozślawiała nagroda Goncourtów, kiedy, w maju r. 1922, Proust otrzymuje list z wymówkami: to pani Laure Heyman poznała się w Odecie (a raczej inni otworzyli jej oczy na rzekome podobieństwo) i zaatakowała Prousta gwałtownie mi wyrzutami. I oto Proust, niemal już na łóżu śmierci — umarł w listopadzie t. r. — tłumaczy jej cierpliwie w długim liście, że niema nic wspólnego między nią a Odetą, że Odeta to nie tylko nie ona, ale wręcz jej przeciwnieństwo. „Kobiety światowe — pisze do ex-kokotki, wiedząc czem ją poglądze — nie mają najmniejszego pojęcia o tem, czem jest twórczość artystyczna, z wyjątkiem tych, które są niepospolite. Ale w mojem wspomnieniu Pani była właśnie niepospolita! List Pani sprawił mi zawód. Nie mam sił aby pisać dłużej i żegnając okrutną korespondentkę, która odzywa się do mnie jedynie poto aby mi sprawić przykrość, przesyłam wyrazy szacunku i łkliwego wspomnienia tej, która niegdys lepiej mnie sądziła”.

W pół roku później, Proust już nie żył. I od czasu jego śmierci aż podziś dzień zabawa w zgadywanie modeli trwa dalej, czasem zbyt upraszczana przez ludzi, narażających się na ten sam zarzut co pani Laure Heyman, że „nie mają pojęcia, co to jest twórczość artystyczna”. Niemniej sam problem jest szczególnie pasjonujący. Bo w istocie ta zaborcza potrzeba autentyzmu przy równoczesnym antyrealizmie, spożytkowanie każdego poszczególnego rysu przy równoczesnem tworzeniu najogólniejszych mitów ludzkich i szukaniu najpowszechniejszych praw, niewątpliwie stanowi jedną z osobliwych i najbardziej zaniemanych właściwości Prousta jako pisarza.

Tadeusz Żeleński (Boy).



KRZYWDA MARATA

Jak z igły

wyglądać będzie garderoba Pani, wyprana chemicznie we wzo-rowej pralni Opus Inf. telefon 5.53-40



W recenzji z książki Shearinga „Anioł morderstwa — Karolina Corday” („Wiadomości Literackie”, nr. 734), p. Bolesław Dudziński wypowiedział o niej zdanie sprzeczne z moim poglądem, wyrażonym w przedmowie do polskiego wydania. I przeszedł do porządku nad moimi argumentami, nie przeciwnawiając im zresztą żadnych innych.

Słuszność sądu o książce mogłaby, przypuścimy, nie interesować czytelników „Wiadomości”. Ale tu w grę wchodzi, zaczepiony przez p. Dudzińskiego rzekomo krzywdzący sąd Shearinga o rewolucji francuskiej, o jej „twórcach i bohaterach”. A to już jest temat bardziej ogólny, zajmujący i w czasach dzisiejszych wcale nawet życiowy.

Książkę Shearinga uważam za doskonałą. Znajduję w niej wielkie wartości historyczne i literackie: wierny, żywy i subtelny portret duchowy Karoliny Corday, inteligentne i oryginalne ujęcie środowiska, świetne, cięte charakterystyki Russa, Kornela i innych. Autor, jakkolwiek konserwatywny, nie waha się uwytyścić groteskowych, karykaturalnych wręcz rysów cechujących różne typy ancien régime'u. I naodwrot, jakkolwiek krytykuje działaczy rewolucji, umie im nieraz oddać należną sprawiedliwość.

Dlatego stwierdzam w przedmowie: „O zaletach Shearinga, jako historyka, świadczy m. in. rzetelność jego sądów”. Uwagaż też, że książka jego pisana jest rzetelnie, ciekawie i zwięźle. Pan Dudziński twierdzi, przeciwnie, że — „nużąc i rozwlekając”, zarzuca jej „brak umiaru i obiektywizmu”. I kończy: „namiętny subiektywizm i zaciekła aprioryczność stawiają pod znakiem zapytania historjograficzne kwalifikacje Shearinga”.

Jak rozstrzygnąć, który z tych dwu sądów sprzecznych jest prawdziwy? Nie ma innej drogi jak zajrzeć do tekstu.

Pisze o nim p. Dudziński: „Pełno tu wymysłów i złorzeczeń przeciw rewolucji, jej twórcom i wybitniejszym aktorom”.

Sprawdźmy.

Str. 86. Czytamy o żyrondytach: „byli... porządnie wykształceni, bardzo moralni, o szczerych ideałach, pełni zapału, męstwa i dobrych intencji”... Czy to są „złorzeczenia”?

I dalej, na str. 144: „Co do ich uczciwości i szczerości, nie mogła ona ulegać wątpliwości dla nikogo, kto nie był przeżarty zawiścią i uprzedzeniem. Nie byli szpiegami Koburga, ani Brunswicka, nie byli narzędnymi Pitta ani emigrantów; byli to ideowi republikanie, wierni swoim zasadom, niezlomni, odważni”... Czy to są „wymysły”?

Oczywiście, autor wskazuje także drugą stronę medalu, to która, zdaniem jego, wyjaśnia tajemnicę ich klęski. Nie byli, stwierdza, ludźmi czynu, mężami stanu. Umieli porównywać mowy i pisać, ale nie umieli przewidywać, organizować, działać. Umieli wspaniale umierać, nie umieli mądrze, zwycięsko żyć.

Jeśli p. Dudziński uważa tę opinię za błędną — może ją zwalczać; nie sądzę jednak, aby ktokolwiek mógł się w niej dopatrzeć „złorzeczenia”.

A może autor „złorzeczy” wszystkim przeciwnikom i pogromcom żyrondyzmu: góralom, jakobinom, sankiulotom?

Czytajmy! Str. 145: „Wielbiciele żyrondy i ci milujący spokój obywateli... nie mieli ochoty pamiętać o słuszności zarzutów, jakie ci zdychający z głodu sankiuloci wysuwali przeciw żyrondyzmu, że oni rzeczywiście nie wykazywali w niczym zalet mężów stanu. Tak samo nikt z tych idealistów nie zwrócił uwagi na dotądnie cechy brutalnego i ostre go rządu „potworów” (cudzożytni Shearinga), owego strasznego Komitetu Oceny Publicznej, który swoją bezwzględna energią nie tylko trzymał krótko kraj zrewoltowany, ale wystawiał wielką armję, śląc ją w pole przeciw najeźdźcom. Oni także mieli swój okropny heroizm, swoją posępną szczerłość, swoje nieubłagane męstwo... I było coś z antycznej wielkości... w owej przenośni Barrère'a: „Republika jest już tylko wielkim miastem w obłężeniu”.

...Słuszność zarzutów, energia, heroizm, szczerłość, męstwo, antyczna wielkość... Czy są to wymysły i złorzeczenia?

Prawda, dla Karoliny Corday żywi autor podziw i część. Ale ta „normandzka szlachcianka” (jak ją z dziwną jakby niechęcią nazywa p. Dudziński) była rzeczywiście indywidualnością niepospolitą. I była przecież także republikanką i demokratką, może bardziej konsekwentną i niezłomną niż sam Marat, który zaczął od realizmu a skończył na terroryzmie. Uwielbiali ją żyrondyści, niewątpliwie także „twórcy i aktorzy rewolucji”. Zachowaniem się w sądzie i w obliczu śmierci wyświadczyła zły z oczu nawet uczciwemu wrogom, wzruszeniu uległ nawet sędzia, nawet dozorca, nawet kat... I oto Shearing posuwa obiektywizm tak daleko, że i tej podziwianej bohaterce swojej zarzuca jednak, iż nie orientując się w polityce, „nie dostrzegła żadnych zasług „góry”, żadnych błędów żyrondy, widziała potworów, furje, morderców, tronuących w Paryżu, bohaterów i męczenników, przemawiających... w Caen”.

Potwory, furje, mordercy... Ironiczny, acz nieumieszczony cudzożytny wynika tu oczywiście z sensu. Pan Dudziński, przeznając książkę, może ten domysły cudzożytny przeoczyć — stąd zapewne wynikło nieporozumienie co do owych rzekomych „złorzeczeń”.

Prawda, autor nie szczędzi też ciemnych barw, przy opisie np. pewnych scen wydania i skazania żyrondyzmu, albo makabrycznie — groteskowskich triumfów Marata za życia i po śmierci. Ale cokolwiek sądzić o słuszności tych opisów, tak się te rzeczy rysowały w wyobraźni żyrondyzmu i Karoliny Corday. Dlatego zabiła. A przecież w książce chodzi o wytłumaczenie, dlaczego zabiła.

I nie szczędzi też autor ostrych słów różnym ciemnym figurom rewolucji, jak ex-właściciel domu publicznego Henriot, ex-kapucyn Chabot, paszkwiliści Hébert, sadysta Couthon. Ale to nie są „wyzwiska”, to są określenia. Trudno: bohater zowie się bohaterem, a bandytą lub łotrą — bandytą lub łotrem. Można się nie zgadzać z temi ocenami autora, ale nie można ich sprowadzać do rzędu złorzeczeń.

*

Tyle co do rewolucji i ludzi rewolucji wogóle. A teraz w szczególności co do Marata.

Pan Dudziński pisze, jakoby w książce Shearinga „Marat ma wszelkie cechy szatana z pobożnego misterjum, a najgłośniejsze jego miano w słowniku autorskim brzmi, jeśli się nie myli: „szczur kanałowy”.

Pan Dudziński, niestety, się myli. Shearing nigdzie takiego miana Maratowi nie nadał. Tak nazywał tylko jego „schronienie”, kiedy w pierwszych latach rewolucji ścigany był przez policję Lafayette'a. Jeżeli się stwierdza, że Marat miał „schronienie szczura kanałowego”, to nie jest to przecież jednoznaczne z twierdzeniem, że Marat był szczurem kanałowym.

Co więcej! Shearing opiera się tutaj na wspomnieniach i własnych określeniach Marata. Pisze bowiem: „Mówiąc własnymi słowami Marata, był on „narażony na tysiące niebezpieczeństw, otoczony szpiegami i mordercami, ścigany od nory do nory”... A dalej: „Był zmuszony to ukrywać się, jak szczur, w kamieniolatach Montmartre'u, to chronić się w wilgotnych, mrocznych piwnicach, zżerany przez najokropniejszą nędzę (rongé par la misère la plus affreuse)” — tu dodaje Shearing, obok angielskiego przekładu, autentyczny tekst francuski. Marat sam przecież sobie nie „złorzeczył”!

Shearingowi chodzi o wykazanie (i niewątpliwie to wykazał), że w tak okropnych warunkach Marat się nie ugiął, nie załamał. Siedząc w tych „norach” podziemiach, w głodzie i chłodzie, wilgoci i zaduchu, przy małej kopce lampy oliwnej, nieustannie pracował. Pisał i pisał, aż do omdlenia, do utraty przytomności, mimo że rozwijały się w nim, w takich warunkach, liczne choroby, jak

zapalenie oczu, niestrawność, migreny, drgawki nerwowe i odrażająca choroba skóry. Mimo to, pracował dalej, pracował nieustannie, aż do ostatniego tchu, do ostatniej chwili życia.

Pan Dudziński zarzuca, że Shearing pomija nieraz ważniejsze, uwytykła mniej ważne momenty rewolucji. Ależ książka Shearinga nie jest historją wielkiej rewolucji; jest historją Karoliny Corday. Obraz całości, układ jej pierwszorzędnych i drugoplanowych elementów zmienia się przeciw wraz ze zmianą punktu widzenia.

Pan Dudziński zdaje się też nie odróżniać przedstawionej u Shearinga wizji Marata, jaką sobie wytworzyli żyrondyści, Adam Lux, Karolina Corday — od charakterystyki, jaką daje sam Shearing. Tamtych przedstawiał się Marat istotnie jako coś w rodzaju „szatana”, nie z żadnego „pobożnego”, ale raczej z jakiegoś piekielnego „misterjum”. I autor nie mógł tej ich wizji nie odtworzyć, skoro miał wyjaśnić genezę mordu: to przecież było jego zadaniem.

Ale Shearing daje też własną charakterystykę Marata. I znowu: można się z nią zgadzać lub nie, ale trzeba przyznać, że wypadła ona interesująco. Jest to coś w rodzaju freudowskiej psychoanalizy.

Chybione w młodości odkrycia naukowe, zawiedzione olbrzymie ambicje, niezaspokojona na różnych próbnych drogach żądza potęgi i sławy, a wreszcie nieuleczalna choroba, ciągłe cierpienia fizyczne i straszne warunki bytu, hamujące się, działania, panowania — wszystko to wytworzyło różne „urazy”, i „kompleksy”, które z ogromną mocą „wyładowały się” w rewolucji. Aż dotąd „czynił wrażenie drażniący siły, która nie wie, w jakim kierunku zwrócić swoją furję”. I teraz znalazł! Sprawa ludu dala ujęcie jego zamianowanej dotąd energii. Świadomie czy nieświadomie (Shearing sądzi, że poczęści świadomie, dlatego nazywa go politycznym szarlatanem...) uczynił ją wyrazem i — osłona swojej osobistej sprawy, swoich osobistych życiowych porachunków. „Ja jestem wściekłość ludu!” — wołał o sobie. A Shearing zaznacza: „ta auto-definicja była wcale trafna; on istotnie reprezentował wściekłość, zawiść, zemstę tych, którzy nic nie mieli, w stosunku do tych, którzy mieli dużo, i reprezentował jej z okropną szczerością”. Taką jest diagnoza Shearinga.

Niemniej jednak przyznaje nam również niepospolite cechy dodatnie. Jak p. Dudziński mógł tego nie zauważyć? Pisze więc Shearing, że Marat „miał umysł żywy, bystry i niezmordowany”, że „był to... żywotywny pisarz o niezmiernie pracowitości” (str. 63), że także pod względem moralnym „zalety miał bardzo poważne; jego prywatne życie było czyste, wolne od występków, zdolny był do znoszenia wielkich braków... był fizycznie i moralnie nieustraszony”, że jego pewne wady, jak „gwałtowność, niespokojność... w znacznej mierze tłumaczyły się brakiem zdrowia” (str. 64).

Nawet w nieszczęśliwej powierzchowności Marata umie Shearing wyróżnić cechy korzystne. A więc: „czło i oczy miały pewien rys szlachetności w sobie... poruszał się i mówił z naturalną siłą i dumą, która miała niejaki wdzięk spontanicznej energii... Głos miał głęboki i potężny”... (str. 65).

„Czystość życia prywatnego, nieustraszość, wytrzymłość, rys szlachetności i t. d. — no! jak sobie chce p. Dudziński, ale czy to są „cechy szatana z pobożnego misterjum”?

Shearing uściłowiał rozwikłać coś co można by nazwać „kompleksem Marata”. Jest to kompleks mniej lub więcej typowy. Zastępuje na uwagę wszystkich, których interesują psychologiczne kulisy historii, zwłaszcza w epoce przewrótów i wstrząsów.

Czy ocena Shearinga krzywdzi Marata? Pozostawiam odpowiedź znancom przedmiotowi... Ale co m. in. Shearing wykazał, to to że Marat był człowiekiem niepospolitym, którego pod wielu względami upośledziło, skrzywdziło i wypaczyło życie. Oto, powiada Shearing, źródło jego „kompleksu”.

Krzywdza tkwi z pewnością u podstaw wielu tragicznych kompleksów i zawiłkai życiowych. Krzywdza tkwi analogicznie u podstaw wielu komplikacji i wstrząsów społecznych. To główna refleksja, jaką nasuwa książka Shearinga. I refleksja — prawdziwa.

Irena Pannenkowa.



KRONIKA TYGODNIOWA

Zadziwia oschłość, z jaką prasa nasza przyjmuje wszystko co się dzieje w opanowanym przez hitlerizm Wiedniu. Znacząca część dzienników nie stara się nawet ukryć radości, że już nie będzie tego miasta nauki i piosenki, że znowu ogromne ilości ludzi podlegać będą prześladowaniu.

Endeckie pisemka do tego stopnia opanowane są obłędem antysemitycznym — że zmiana mapy Europy staje się małym dodatkiem do wyrzucenia Żydów ze szpitali, uniwersytetów, teatrów czy pism wiedeńskich. W „Słowie” wileńskim jakiś rozradowany feljetonista pisze, że w Wiedniu „Żydzi płaczą jak porzucona przez strażaka kuchnia”. Wśród tych „kuchni” są przecież nazwiska uczonych o sławie i znaczeniu wszechświatowym. Nie porzucili ich „strażaki”, ale porzucili ich Europa i cywilizacja, której wiernie służyli. Wiednie nie jest zamieszkała wyłącznie przez Żydów. Losy wszystkich patriotów austriackich, wszystkich przeciwników faszystów i hitleryzmu, wszystkich niemal katolików budzić musią głęboką troskę. Kompleks antysemityczny odbiera zdolność widzenia, zaciera kontury i wszelką myśl polityczną doprowadza do form karykaturalnych. „Merkurjusz Polski Ordynaryjny” wystąpił z niezwykłą rewelacją. Państwa demokratyczne czyli, jak je nazywają nasze prymitywy endeckie, „państwa demoburżazyjne”, nie mają znaczenia: „nikt na świecie nie ludzi się już co do rzekomej siły państw demoburżazyjnych. Wszyscy wiedzą, że losy świata trzymają w rękach Hitler i Mussolini. A ponieważ nam przedewszystkiem zagrażają państwa demoburżazyjne, albo, jeśli wolisz, blok państw folksfrontowych, przeto marny stan tych państw oznacza dla nas szansę szczęśliwą”. Państwa „folksfrontowe”, to według tych mędrców Anglia, Francja i Ameryka, i że strony tych właśnie państw Polsce grozi niebezpieczeństwo! Do jakiego stanu może doprowadzić umysł człowieka podniecenie i zacietrzewienie, dowodzi inny artykuł w tem istotnie bardzo „ordynaryjnym” piśmie.

Okazuje się, że fala potwornych morderstw rabunkowych i napadów bandycznych ma u nas łatwe do wskazania powody.

Oczywiście, powodem tych zbrodni jest „życie świadome”. Jeżeli już nie Żydzi, to przynajmniej coś podobnego. Dowiadujemy się, że młodzież przez szkołę, a więc przez Związek Nauczycielstwa Polskiego zaprawiana jest „do wszystkich rodzajów grzechu, wśród których tak łagodnie zwane „życie świadome” należy do najniebezpieczniejszych, coż się dziwić, że jeżeli młodzież tak się kształci, to starzy mordercy”.

Niema oczywiście znaczenia, że pięć osób w bestialski sposób wymordował właśnie analfabeta, niema oczywiście znaczenia, że właśnie wśród młodzieży wychowywanej przez endeków szereg krwawych porachunków polityjnych, że panuje tam kult pięści i kastetu. Czyż te łzy krokodyli nad deprawowaniem młodzieży nie przypominają, owych pałków gumowych, które hitlerowcy odebrali krwiożerczym policjantom wiedeńskim, gdyż pałki gumowe niezgodne są z etyką niemiecką. Ludzie niezatruci polityką i nienawością z najwyższym smutkiem myśląc muszą o metodach zgodnych z moralnością niemiecką, które uczynią teraz z Austrii kraj lęku i niewoli. Prócz salw radośnych na cześć Hitlera, słyhać dziś w Wiedniu odgłos innych strażaków. Ludzie znajdujący się w straszliwej palupace szukają jedynej jeszcze otwartej drogi ucieczki.

Co czuć muszą dzisiaj ludzie zamknięci w zdobytej Austrii? Demokraci, socjaliści, liberalowie, Żydzi, katolicy, to znaczy ci wszyscy, którzy z racji swego pochodzenia, swych poglądów lub swej wiary zdani są na straszliwy ucisk intolerancji. Słyszą przez zapuszczające stery wrzask ulicy, kroki dudniące na schodach, każdy dzwonek do drzwi chwyta strachem za gardło. Lekarze nie chodzą do szpitala, profesorowie boją się pokazać swym uczniom. Znaczną część narodu zamieszkalego na terytorium Austrii ogarnięta jest lękiem i rozpaczą. Drugą część, również dość znaczną, żyje w upojeniu. Młodzieńcy w wieku dojrzewania maszerują ulicami nie czując zmęczenia, podniecenie odbiera apetyt i sen. Któż dzisiaj śpi spokojnie w Wiedniu? Różne są powody tej bezsensowności. Tragedja Wiednia nie ma analogii w historii europejskiej. Nie przybył nikt z odeszcza, bo któżby chciał narażać życie swych żołnierzy w obronie Wiednia przed armją zwyciężonych pogan? Wielka ilość ludzi pragnie uciec, woli emigrację i wygnanie od śmierci czy choćby tylko ucisku. Ale dokąd mogą uciec ci ludzie? Nie wpuszcili ich żadne państwo. W naszych czasach nie wraca się już z wygnania, nie szuka się na emigracji szczęśliwszej doli, bo wróg zamyka granice, bo niema już prawa azylu. Pisarze, artyści i uczeni, którzy z Niemiec schronili się do Wiednia, nie mają żadnej drogi odwrotu. Drobna gromadka przesłiznięta się przez kordony aby jeść gorzki chleb wygnania w hotelikach paryskich, aby tułać się po ulicach Pragi lub Züriczu. Oschłość i brak ludzkiego współczucia dla pokonanych typowa jest dla naszych „czasów pogardy”. W r. 1935 kanclerz Hitler w przemówieniu radiowym rzucił te słowa: „Bądźcie nietolerancyjni, fanatyczni i zaciekli”. Dawno już żadne hasło rzucone ludziom nie znalazło takiego zrozumienia, nie zdobyło sobie tylu zwolenników. Ludzie milujący pokój i pracę zostaną przez tłum wyrostków zaszczuci na ulicach czystego miasta. Wdzięk Wiednia, sztuka i kultura tego miasta została na krzyż przekreślona w dwukrotnie czarnym znakiem swastyki.

Antoni Slonimski.

Nagrobki mówią

Od najdawniejszych czasów sławiły płyty grobowe cnoty i zasługi nieboszczyków, nieraz bardzo wyolbrzymione przez fantazje lub kochające serca pozostałych.

Najczęściej nagrobek wznoszony był sumptem nieutulonego w żalu małżonka lub żony, co nieomieszkało pilnie na nim zaznaczyć.

Tak oto „małżonek serdeczny” składa „marmur afektu” na grobie połowicy w katedrze ormiańskiej we Lwowie.

D. O. M.

O iak cienka jest życia ludzkiego osnowa.

Anna pod tym marmurem śpi dyrektora

Zgasił nam splendor szlachetny z laskiewicz

W życiu doskonałości równie szukać mamy,

Ta lub dzieci nie miała, wszystkich

Życie święte w sześćdziesiąt lat

Krzysztof Augustynowicz małżonek

Złożył marmur afektu na fundament wieczny

Te krótkie na nim łzami zakrośnięte słowa

Niech z Bogiem odpoczywa tu dyrektora.

Ano Dni 1728 die 16 Maji.

W kościele bernardynów w Wilnie przemawia czuły mąż do swego „składu szacownego” ze krwi Jaśnie Wielmożnych Judyckich:

Sercu Prawemu i doświadczonemu w wierności związku małżeńskiego ze krwi I. I. W. W. Judyckich.

Barbary Giełdowej Starościny Żmudzkiej.

I. W. Antoni Giełdud Stta Głny Xiłwa Żmudz. ku pobudce wiernych za Iey Dusze na dowód nie wygasłej pamięci afektu i wdzięczności.

Ten grobowy kamień położył roku 1784 dnia 24 mca lipca.

Nie skarz o serce drogie na smutną odmianę,

Żeś od wszystkich zostało nędznie odbieżane,

Mąż Cię nad skarby świata droższy gdy przekłada,

Na godny odpoczynek w Domu Bożym składa,

Spoczniy składzie szacowny za cieniem kamienia,

A Duszę wspierać będą pobożnych westchnienia.

Pani Elżbieta z Bartosów Korolkiewiczowa, burmistrzowa wileńska, zanim położyła się wezłem małżeńskim z imię burmistrzem, przeżyła już dwóch mężów i „na wieczną pamiętkę” pochowała ich razem z jedną metalową płytą w sklepionych korytarzach dawnego klasztoru dominikanów w Wilnie.

Jakże sugestywnie przemawiają z grobu obaj mężowie, oczekujący swego trzeciego następcy i „żałosnej małżonki”:

Postoy gościu Poznay nas Podziemnych że na cie czekamy

ia Bazyli Barszczewski

R. P. 1697 wieku swe 50 FEB. D. 5.

y ia iędrzej Orlowski

żywszy lat 45 R. P. 1610

w tę ciemną gospodę uprzedziłymy

ciebie.

Prosim westchni za nami do PBoga a pokiś z śmiercielnemi,

sam się z sobą y z śmiercią poznaway idź że w spokoju

ten znak żałosna małżonka

Elżbieta Bartosówna Korolkiewiczowa

Burmistrzowa wileńska

z córką swą Anną Orlowską

na wieczną małżonkom swym

wystawiła pamiętkę

R. P. 1635.

Oryginalną formę dał swej boleści Józef Przeździecki, w sposób dość skoczny zaczynając nadgrobnie żale na cmentarnej płycie młodej małżonki.

Hej nieszczęśliwe fatali! Którę skracają lata!

I cóż pomoże przeciw śmierci tęgi

Związek miłości, małżeńskie przysięgi?

Nic nie pomoże największa fortuna

Tęgo nas uczy dzisiaj niema truna.

Konstancja, z domu Paszkowska,

która to

Przyozdobiona jako w kwiecie lato

Nielitościwie wydarła jest gwałtem

Mężowi żadnym nieodbita kształtem.

Józef Przeździecki Grabowski

Starosta

Choćaby zbyt męzny żalowi niesprost,

Żal go przeniknął, żal pochłoniął cale,

Gdyż z płaczem buduje małżonke

swej sale.

Tu na tym świecie bezpotomnie żyła,

Albo po śmierci siła narodziła

Łez przyjaciół, które leje teraz

Nieszczęśliwy małżonek i lać będzie

niezaz.

(1725 roku Februarii 28)

Epoka rokokowa nawet śmierć potrafiła traktować frywolnie. Oto co głosi tablica na cmentarzu w Łucku:

Panna Kasztelanica

Stukła się jak szklanka,

Plakał rodzice,

Plakał amant długo,

Rodzice się pocieszyli

Amant porwał drugą.

Albo wytworne epitaphium damy z wielkiego świata, która swego czasu używała życia ile się zmieści:

Pani wielkich miłości leży pod

glazami temi,

ZDUMIEWAJĄCA HISTORIA PIĘCIORACZKÓW KANADYJSKICH

NAJNOWSZA SENSACYJNA WIADOMOŚĆ!

KURIER
W Kanadzie urodził się Pięcioraczki. Czy będą żyły? Niepokojące pytanie

28 maja, 1934 r. I Urodzenie Pięcioraczek na dwa miesiące przed czasem poruszyło cały świat

Po przyścin na świat i przez pewien czas potem Pięcioraczki kanadyjskie

były w oleju oliwkowym... Z chwilą, gdy można je było

wybrać i wysłać do

kapłanów w kościołach

mydło Palmolive do codziennej kąpieli tych sławnych

w całym świecie dzieci.

Dr. Allan Roy Daport

Opiekę nad zdrowiem i higieną słynnych Pięcioraczek powierzono lekarzom-specjalistom.

A dzisiaj nie ma zdrowiejszych, szczęśliwszych, weselejszych dziewczyn, aniżeli Pięcioraczki kanadyjskie. Cesia, Iwonka, Emilia, Ania i Marysia.

MATKO! Używaj również do kąpieli Twoich dzieci

Palmolive, mydła wybranego dla delikatnej skóry Pięcioraczek

kanadyjskich, dla których wszystko wybierają w najlepszym gatunku.

Ty również, piękna Pani, pragnąc, aby

LISTY FRYDERYKA CHOPINA

w opracowaniu HENRYKA OPIEŃSKIEGO

400 stron druku — 23 rotograviury — cena zł. 25.—, w oprawie zł. 30.—

Nakład Jarosława Iwaszkiewicza i „Wiadomości Literackich”

Skład główny: Księgarnia J. Przeworskiego

Czy Mojżesz był Egipcjaninem?

Sędziwy twórca psychoanalizy w ostatniej swojej pracy sięgnął w zamierzeniu przeszłość, aby pokusić się o analizę historyczną. Posługuje się przytem tą samą metodą, jaką stosuje przy badaniach duszy indywidualnej. Jak sny są odbiciem podświadomych głębi człowieka, ściśle związanych z rzeczywistymi jego przeżyciami, tak legendy stanowią niby senne marzenia narodów i opierają się na faktycznych zdarzeniach z przedhistorycznych czasów niemożliwego. Procesy te są zupełnie analogiczne. Dlatego można badać stare podania, stosując te same klucze symboliczne, ten sam sennik, jaki wypracował dla tłumaczenia snów poszczególnych ludzi żyjących.

Z taką to niewypróbowaną w nauce metodą Freud zabrał się do analizy podań biblijnych, dotyczących pochodzenia Mojżesza, i wystąpił ze śmiałą tezą: **Mojżesz był Egipcjaninem.**

Oto kilka argumentów znakomitego uczono.

U wielu narodów istnieją legendy o bohaterach boskiego albo królewskiego pochodzenia, którzy zostali w niemowlęctwie porzuceni. Zaopiekowali się nimi wtedy jacyś ludzie prości i wychowali u siebie, aż powrócili jako dorośli do swoich i objęli nad nimi władzę. W podaniu o dzieciństwie Mojżesza miała nastąpić według Freuda inwersja zwykłego schematu. W rzeczywistości jednak był on nie dzieckiem żydowskim, znalezionem przez córkę faraona, ale nadwornym synem egipskiego królewskiego rodu, wychowanym między Żydami. Jako dowód podaje autor szereg argumentów zaczerpniętych z własnego systemu wykładania snów. Tak np. według Freuda woda jest symbolem rodzenia. To więc, że córka faraona znalazła małego Mojżesza na wodzie, miałoby oznaczać, że go w rzeczywistości sama urodziła.

Dalszym argumentem jest że wyraz Moses nie posiada w języku hebrajskim żadnego znaczenia, podczas gdy inne biblijne imiona własne mają źródłowy zacierpnięte z potocznej mowy. Wyraz ten powtarza się natomiast jako składo-

wa część nazwisk faraonów egipskich, jak Tut-mosis, Ra-mes i t. p.

Hipoteza Freuda o egipskim pochodzeniu Mojżesza zastanowiła mnie tem bardziej, że zbiega się ze wspomnieniem rozmowy z pewnym mało znanym uczonym, badaczem dziejów wierzeń ludzkich, który zupełnie odmienną drogą doszedł do podobnych rezultatów.

Zbliżyłem się przed laty do krakowskiego inżyniera Włodzimierza Schleyena, który w chwilach wolnych od pracy zawodowej poświęcał się studiom nad historią religii. Piękna jego biblioteka z widokiem na ciche planty była chyba u nikim w swoim rodzaju: obejmowała mianowicie około dwudziestu tysięcy tomów z tego tylko zakresu.

Od wielu lat dręczyło Schleyena pytanie, w jaki sposób tak wysoka i trudna abstrakcja, jak idea monoteizmu, powstać mogła w nawpół barbarzyńskim narodzie, jakim byli Żydzi za czasów Mojżesza. Na tym stopniu kultury ludu oddają zazwyczaj część fetyszm, a idea abstrakcyjnego rodzą się dopiero na daleko wyższych stopniach cywilizacji.

Długo biedził się nad tem zagadnieniem, aż raz studium egipskie rzuciło mu nagłe światło na męczącą zagadkę.

W wierzeniach egipskich istniały trzy stopnie wtajemniczenia. Dla gminu było niezliczone mnóstwo bogów i bożków. Wyższy stopień, dostępny tylko dla elity, obejmował jedynie kilka bóstw głównych. Wreszcie najwyższy stopień, dostępny jedynie faraonowi i kapłanom z Teb, był wyrazem istotnych pojęć religijnych mędrców starożytności. Dla tych wybrańców dostępna była wiara w jednego boga Atona, symbol słońca. I jak słońce wytwarza cienie, tak dobru nieodłącznie towarzyszy zło, a wszystkie zjawiska i wszystkie symbolizujące je bogi są tylko cząstkowymi funkcjami ogarniającego wszechświat Atona.

Ten szczytowy stopień wtajemniczenia połączony był z najwyższymi prerogatywami politycznymi. Poznanie prawdy łączyło się w Egipcie z władzą.



Dzierżyciele władzy byli jedynymi posiadaczami wiedzy, zazdrośnie przed każdym innym ukrywanej. Cały ten system mógł więc dopóty sprawnie funkcjonować, dopóki panowała zgodność pomiędzy królem i kapłanami, pomiędzy czynnikami świeckimi i duchownymi.

W w. XIV przed Chr. zepsuła się jednak zgodność tej współpracy. Kapłani świątyni tebańskiej stali się nabytymi potęgą, a faraon Amenofis IV podjął walkę z supremacją duchowną, podobną do średnio-wiecznej walki o inwestyturę. W czasie tego konfliktu chwycił się środka rewolucyjnego. Pragnąc usunąć dwór spod wpływu kapłanów, przeniósł stolicę z Teb do Tel-el-Amarna. Równocześnie ogłosił całemu narodowi zadość uczynienia tajemnicę najwyższego stopnia religijnego poznania i proklamował Atona jako jedynego boga. Następcę tronu nazwał Tut-ench-Aton, t. j. wyznawcą Atona. W ten sposób rzucił w lud wolnościową wiarę rewolucyjną i pozyskał go jako sprzymierzeńca do walki z wszechwładzą duchowieństwa.

Władza świecka, oparta na kulcie jednego boga, zdołała jednak utrzymać się tylko przez czas krótki. Po niewielu latach kapłani wzięli górę. Amenofis IV zginął wśród tajemniczych okoliczności. Porwany przez kapłanów, Tut-ench-Aton zmienił imię na Tut-ench-Amona, wyznawcę Amona, głównego bóstwa dawnej religii oficjalnej, a stolica państwa przeniesiona została z powrotem do Teb.

Równocześnie proklamowano znowu dawną wiarę politeistyczną i poczęto tępić kult Atona najostrzejszymi środkami. Wśród ludu zachowały się jednak resztki tego kultu i ukryły głęboko pod ziemię. Najuporczywiej trwały przy tych zakazanych wierzeniach wolnościowych uściskane plemiona nawpół koczownicze, zamieszkałe w delcie Nilu, daleko od ośrodków władzy.

Tu zabyłszy Schleyenowi nowa hipoteza, rozświetlająca zagadkę źródła żydowskiego monoteizmu.

Czyż nie jest bliska konkluzja, że Żydzi, zamieszkali w prowincji Gosen, uciśnieni przez rządy centralne, umysłowo żywi i niespokojni, przejęli się owymi nowinkami i zachowali kult Atona, jedynego boga? Czy nie zachodzi prawdopodobieństwo, że represje wzmożły się wskutek tego, że plemię to trwało tak uporczywie przy zakazanych, rewolucyjnych wierzeniach? Czy ten właśnie ucisk nie spowodował Żydów do opuszczenia kraju i szukania innej siedziby, gdzie mogliby oddawać się spokojnie swojemu kultowi? Czy na tle takiej właśnie sytuacji politycznej nie zrodził się przywódca, który rzucił tej grupie malkontentów hasło własnej ziemi obiecanej?

Hipoteza ta tłumaczyłaby wszystko. Obalając samorodną legendę o objawieniu na Synaju, wywodziłaby monoteizm koczowniczego szczepu z filozofii narodu, który od dwóch tysięcy wykstał był już u siebie najwyższe formy ówczesnego rozwoju umysłowego.

Snując swoje rozważania Schleyen stworzył wielki hebrajski słownik etymologiczny Geseniusza na wyraz Adon, używany w modlitwach żydowskich na określenie Boga. Geseniusz tłumaczył go: „Bóg, pan” i dodaje: „etymologia nieznana”. Schleyenowi zabyłszy oczy:

— Widzi pan, ja te etymologie znalazłem. Adon, z którego przez Fenicję wywodzi się także Adonis, to nic innego jak staroegipski Aton.

Sądze, że właśnie teraz kiedy badania Freuda wzbudziły powszechne zainteresowanie nauki dla postaci Mojżesza, byłoby grzechem, gdybym nie przypomniał hipotezy Schleyena.

Jeśliby dalsze badania egipskie potwierdziły schleyenowską tezę o bezpośrednim związku pomiędzy żydowskim monoteizmem a staroegipskim kultem Atona, nie stanowiłoby to jeszcze dowodu, że kodyfikator tej wiary w chwili we-drówki narodu był sam egipskiego pochodzenia. Nie jest wprawdzie wykluczone, że Egipcjanin, zrewoltowany przeciw panującym stosunkom, stanął na czele odłamu ludności, z którym łączyła go wspólna schizma, i razem z nią wyemigrował. Ale pochodzenie Mojżesza nie wynika bezpośrednio z hipotezy Schleyena: tak samo mógł on być i rodzimym przywódcą Żydów, który skodyfikował wyniesione z Egiptu wierzenia.

Gdyby jednak freudowska teza, że Mojżesz był Egipcjaninem, okazała się wobec krytyki naukowej, stanowiłoby to jeden z najwłaśniejszych argumentów, że nieznany badacz krakowski w zaciszu swego gabinetu znalazł prawdę.

Artur Lilien-Brzozdowiecki.

MUSZLE NA WYBRZEŻU

Kuznie Wulkanu — Teleskop — Praca inżyniera — Dźwięk na matrycach

Inżynierowie nie są widocznie przesądni, a może już się nie obawiają, że im kto najsubtelniejsze arcydzieło techniczne tej epoki — teleskop — urzeknie, bo w mieszczańskich specjalnych, dodatkach naukowych, w pismach codziennych znajdujemy coraz częściej wiadomości „inspirowane” o największej zrenicy świata. Czasem oglądamy na zdjęciu makietę przyszłego obserwatorium, czasem ładny model przezroczysty całej instalacji, czasem fotografuję olbrzymie podkowy, którą stworzyli właśnie zakłady Westinghouse’a, oddział w Filadelfii. Po ostatnim zmontowaniu — czytamy — ramy, oprawa, różne stalowe „mięśnie i oczodoły” będą potężne jak w dużym moście, a delikatne jak w zegarku precyzyjnym. Maszynierzy — wagi 500 tonn! — poruszać będzie łagodnie maleńkie motorki elektryczne (pół konia), ale i ten silnik jest o wiele za duży: do przetrzczenia lunety i skierowania jej na dowolny punkt nieba wystarczyłaby zupełnie energia sennej muchy. Najtrudniejszą część zadania wykonać musiała huta szklana w Corning. Trzeba było z najbardziej kapryśnego materiału — ze szkła — odlać olbrzymie czyste, jednorodne, idealne obłoki 20-tonnowy, w którymby optycy mogli wyrzeźbić następnie wielkie zwierciadło paraboliczne. Spory sztab fachowców pod wodzą doświadczanego Elihu Thomsona zaprzął się do odpowiedzialnej roboty. Budowano ziemianki w kształcie izb eskimoskich, ulepiano piece, grzejniki, stopy, robiono tysiączne próby, i wreszcie pewnej niedzieli zimowej o świcie, o godzinie siódmej minut siedemnastej, jeden z najzdolniejszych specjalistów amerykańskich, inż. Mc Cauley, dał sygnał i roztopiona lava „pyrexu” zaczęła spływać do formy. Przez jedenaście miesięcy studzono później — ostrożnie, stopień po stopniu — kolosalny tort szklany nim wreszcie temperatura wielkiej masy zrównała się z temperaturą zewnętrzną. Zimą r. 1935 ów 20-tonnowy nieskazitelny dysk z pyrexu sprezentowano komitetowi specjalistów. Otrzymał aprobatę, zamknięto go w ogromnej stalowej skrzyni, załadowano na specjalne wagony i ruszył w drogę przez kontynent amerykański do Instytutu Technologicznego w Kalifornii. Około 4000 kg musza jeszcze usunąć technicy delikatnymi narzędziami, nim blok na powierzchnię otrzyma formę właściwą, wglębienie kontrolują ustawicznie precyzyjne aparaty optyczne, pięcioletnie zwierciadło wkleśnięte musi być wykonane z dokładnością do 1/400 000 mm.

Nadzór nad temi pracami i nad budową „domu cyklopa” na Mount Palomar objął jeden z najlepszych inżynierów-konstruktorów współczesnych C. S. McDowell z marynarki amerykańskiej. W obszernych referatach czytaliśmy niedawno że trudne roboty techniczne potwają jeszcze co najmniej ze dwa lata — w ostatnim komunikacie prasowym wypłynął nagły termin wcześniejszy. Pawilon kopułaty według planów McDowella już stanął nagórze w miejscu przeznaczonym na przyszłe obserwatorium, prace szlifierskie są na ukończeniu, pokrycie paraboloidu lustrzaną warstwą aluminiową nie zabierze zbyt wiele czasu, prawdopodobnie już w przyszłym roku największe oko świata spojry na firmament. Dziennikarze opadli oczywiście uczonych, przypierają ich do muru, dopominają się o wywiady. Inżynierowie otworzyli wszystkie karty, ale — astronomia milczy i czeka... Korespondent gazet angielskich pochwylił tylko w locie krótkie zdanie dr. Stronga: gdybyśmy lunetę z Mount Palomar ustawili chcieli poziomo, na New York, obserwator mógłby na drugim brzegu Ameryki, z odległości 3000 mil policzyć piętra w gmachach na Broadwayu, o ileby mu garb ziemi widoku nie zasłonił. Nowy teleskop ma szkło precyzyjne wielkie jak spory salon, jak skwer, da cztery a może i pięć razy więcej światła, niż słynny w dziejach nauki kolos z Mount Wilson. Luneta już we wszechświecie dotychczasowym, znanym, odsłoniła całe klasy niedostrzeżonych słońc, gwiazd, a prócz tego sięgnęła głęboko w otchłanie niezbadane, na odległość — jak obliczają — milarda lat świetlnych. W spektrogramach znajdujemy wyrok na najciekawsze współczesne teorie i poglądy kosmologiczne, odkryjemy fakty z dziejów zamierzchłych i wróżby na przyszłość. Całą obecną naukę astronomiczną, całą naszą wiedzę o świecie trzeba będzie pomnożyć podobno przez dziesięć, chociaż i ten współczyn-

nik jest może o wiele za mały. Zobaczymy jak wygląda życie na Marsie, co się dzieje za powłoką chmur na Wenus i ile jeszcze tragicznych, zaludnionych globów wiruje w przestrzeni naokoło słońca gąsących. Nic dziwnego, że astrofizycy nie chcą dziś myśleć o prorocztwach, wywiadach, artykułach dziennikarskich — wysłuchawszy się lepiej, usłyszeliśmy może bicie wzruszonego serca nawet z trumny, w której niedawno spoczął inicjator wielkiego projektu, astronom G. E. Hale, a może nawet z grobowców Galileusza i Newtona.

Technicy szukają wyraźnie bliższego kontaktu z prasą. Dzieje im się stanowczo krzywdą w ostatnich czasach. Mamy dla nich dobre słowo tylko wtedy, kiedy powstaje nowy most albo tunel, albo nowy wielki statek zdobywa błękitną wstęgę oceanu. W czasach normalnych publiczność pamięta jedynie o automatach, bombowcach, machinach piekielnych, o dymie, zatrutem powietrzu, katastrofach i konfliktach ekonomicznych. Inżynierowie angielscy — jak donosi „Nature” — zrzeszyli się, utworzyli komitet specjalny, założyli biuro prasowe, chcą informować ogół na łamach pism o istotnych celach i zadaniach twórczości technicznej, chcą pisać komunikaty, robić filmy, urządzać wystawy, wygłaszać odczyty w szkołach. Przecież oni już doprawdy budują „domy szklane” z powieści Żeromskiego, zajęli się gorliwie owemi „metalami lekkimi”, o których tak pięknie pisał Prus w końcowych rozdziałach „Lalki”. Metalurgia obchodzi teraz poprostu święto nowej wiosny. Niedawno jeden ze znanych metalowców zamieścił w „Timesach” dłuższy artykuł o nowych metodach hartowania aluminium, dzięki którym jest dziesięć razy wytrzymałszy, o pewnym metalu prawie o 50% cięższym od ołowiu. Ten stop wolframu z miedzią i niklem znajduje tymczasem zastosowanie w klinikach i laboratorjach jako pancerz ochronny przed przeniknięciem promieniami radu. Inż. Robinson, ongi współpracownik głównych zakładów Westinghouse’a, doszedł po długich i uciążliwych eksperymentach do wniosku, że wszystkie utarte poglądy na grafit i diament trzeba poddać rewizji: węgiel w stanie naprawdę czystym, to metal o właściwościach cieplnych i przewodnictwie elektrycznym tego rodzaju, że zupełnie nowe horyzonty i ziemie obiecały odsłonić się za jego sprawą przed elektrotechniką i żurawiarstwem. Robinson twierdzi również, że będzie mógł produkować w piecach tanim kosztem wielkie kryształy białych szafirów indyjskich, rubiny, szmaragdy, diamenty prawie dowolnej wielkości. Inni znów elektrotechnicy w warsztatach doświadczalnych wielkich fabryk pracują wciąż gorliwie nad ulepszeniem tej lampki, którą zapalamy wieczorem na biurku. Żarówka Edisona nie jest dotąd lampą idealną, doskonałą, nawet jej najlepsze odmiany nowoczesne niełitościwie marnują prąd. Zaledwie dziesiątą część cennej energii zamieniają na światło, i to światło różni się od dziennego, fałszuje kolory krawatów, sukien, kwiatów, kompozycji malarskich, nadać inny, czarny odcień barwom niebieskim, męczy trochę wzrok. Ale inżynierowie Marden i Beese doszli po licznych próbach laboratoryjnych do wniosku, że pary teluru w rurce kwarcowej świecą pod wpływem prądu prawie jak słońce w biały dzień, przyczem ich sztuczne „gwiazdy” nie zderają zbyt wiele energii elektrycznej. Może już wkrótce będziemy mogli mieć „białe noce” pod każdą szerokością geograficzną.

Zdumiewające zagadnienia techniczne rozwiązywać musi często konstruktor dzisiejszy na żądanie medyków, biologów. Czytamy nieraz o „stalowych płucach” dla nieszczęśliwów, którzy utracili władzę w odpowiednich mięśniach, albo o „szklanem sercu”, zbudowanym w laboratorium słynnego fizjologa Carrela. Jakąś bardzo skomplikowaną maszynę zbudował sobie — prawdopodobnie przy pomocy inżynierów — dr. Visscher (oddział fizjologii uniwersytetu w Minnesocie). Dzięki pompom i rurom kauczukowym potrafi serce — umieszczone w sztucznym przezroczystym cieple, w szklanym cylindrze aparatu — utrzymać przy życiu, zmusić je żeby biło przez całą dobę. Dr. Visscher wypróbował w swojej pompie już ze 250 serc, bada jak różne narkotyki działają na ów motor życia, jakie zmiany w takim silniku zachodzą pod wpływem tych czy innych defektów.

PRZYKŁAD PŁOCKA

Parę miesięcy temu ogłosiłem w „Gazecie Polskiej” feljeton, którego zasadnicze myśli powtórzone później w „Wiadomościach Literackich” (nr. 731). Zwracałem tam uwagę na upokarzający stan naszych monografii historycznych i apelowałem do wielkich firm nakładowych, do instytucji naukowych, do akademii, aby przez dobre rozplanowanie konkursu starały się zaradzić temu niedostatkowi. Zdziwiło mnie słabe echo tego artykułu przedewszystkiem w prasie. Na-leżało się spodziewać że bodaj niektóre pisma, mówiące głośno o tem że sprawy kultury narodowej liczą do najważniejszych, podejmą ten apel albo choćby dyskusję nad nim, jeżeliby się okazało że moje projekty wymagają ulepszenia czy rozszerzenia. Nie podobnego nie zaszło.

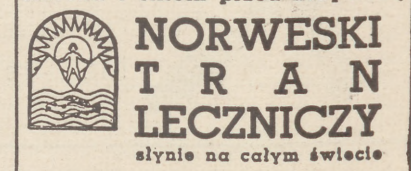
Nie odezwały się również firmy wydawnicze, które najwidooczniej uważają swój obowiązek za spełniony, jeśli w najbliższych latach obdarzą nas kopą tłumaczonych dzieł historycznych o wszelkich możliwych postaciach, od Dżengis-chana do Franklina. Na głos instytucji naukowych nie liczyłem tak prędko, ale

tu właśnie spotkała mnie najmiłsza niespodzianka. Oto Płock, przygotowując obchód osiemsetlecia Bolesława Krzywoustego, na wniosek prezesa tamtejszego towarzystwa naukowego Aleksandra Macieszy, postanowił ogłosić konkurs na monografię tego króla, jednego z największych w naszej historii a tulającego się do dziś w starych i fragmentarycznych opracowaniach.

Szlachetna inicjatywa Płocka powinna być wzorem, przykładem i zachętą. Tem bardziej więc zależy, aby ten pierwszy krok uczyniono z całą świadomością i bez omyłek. Konkurs powinien za-naczyć wyraźnie że narówni z wartością naukową podlega ocenie wartość formy, stylu, języka, jasność przedstawienia rzeczy, że nie może się tu skończyć na uciążliwej źródłowej robocie, która dawała zadowolenie specjalistom a pozostawiała poza swoim zasięgiem czytającą publiczność. Inicjatorzy powinni tak opracować statut konkursu, aby do jury weszli oprócz uczonych, historyków, pisarzy, których sąd o wartościach formalnych nadesłanych prac byłby brany



Dumą rodziców są dzieci zdrowe, wesole i pogodne wypełniające one radością i szczęściem dom rodzinny. Norweski Tran Leczniczy to nie tylko lek, lecz także środek odżywczy dla dzieci. Norweski Tran Leczniczy wzmacnia organizm dziecka i chroni przed krzywizną.

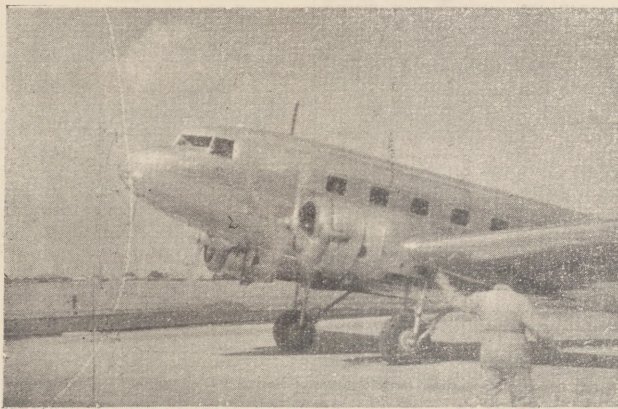


Któraś z wielkich gazet nowożytnych zamieszcza stale w dodatku tygodniowym krótki wyciąg z komunikatów biura patentowego. Widać z tego raptularzyka, ile dobrych idei rodzi się w głowach wynalazców prawie co godzina, jak technicy usiłują nam ustawicznie uprzyjemnić życia. Istnieje już podobno — przynajmniej na papierze — jakiś prosty przyrządek automatyczny przy zwykłym telefonie, robot, który — o ile linia jest chwilowo zajęta — sam dzwoni regularnie co minuta pod nastawiony numer, szturmując cierpliwie, dopóki nie otrzyma połączenia. Najlepszy pomysł inżynierski ostatniej doby oglądali niedawno przedstawiciele prasy i zduśnieni gapie na ciemniacem o zmroku niebie nad miastem Rochester w południowej Anglii. Najtrudniejszy dla konstruktora i pilota jest ten moment krytyczny, kiedy samolot „dalekobieżny” ma się oderwać od ziemi, utrzymać maszynę w powietrzu — choćby bardzo obciążoną paliwem, „transatlantycką” — jest o wiele łatwiej. Inż. R. H. Mayo z głównych zakładów „Short Brothers” pracuje od lat nad „fruwającym podwoziem” — sadza jedną maszynę lotniczą na drugą, przy starcie oba aparaty związane, zespolone z sobą, tworzą jeden płatowiec, ich śmigła i silniki pracują razem, w powietrzu, kiedy najgorsza chwila minie — ptaki metalowe na dany sygnał rozlatują się w różne strony. I taki właśnie manewr — wykonany zresztą świetnie, po mistrzowsku przez pilotów angielskich — podziwiano niedawno w Rochester, a później w Warszawie, na ekranie, w dzienniku filmowym. Może to data historyczna, może już teraz łada dzień na liniach lotniczych Europa-Ameryka zacznie się normalny ruch pasażerski...

Ale aeroplany mają dość kiepską prasę w ostatnich czasach. Zresztą — nawet skromniejsza, niepozorna inowacja techniczna może wywołać niebylejaki przewrót w świecie. Patent amerykański nr. 2106 245 wydano przed miesiącem niejakiemu p. Finchowi, który na taniej masie, używanej w drukarniach do matrycy, chce tłoczyć... tony i dźwięki, chce dodawać do gazet i pism obrazkowych dla młodzieży „dodatki muzyczne”, bajki, powiastki, scenki — młody abonent będzie je przegrywał w domu na gramofonie. „Druk dźwiękowy”... łatwo sobie wyobrazić, kędy nas wiodą. Feljetonista — zamiast pisać — będzie musiał tygodniową płytę dźwięcznie nagadać, autor będzie szeptał to i owo swemu czytelnikowi na ucho, poeta znów zacznie brzdąkać na lirze. Zmieni się odrazu treść, forma, charakter, rozmiar, styl dzieła i utworu literackiego. Rewolucja.

A współczesny Wulkan czy Hefajstos ma jeszcze inne kasztany w ogniu i gruszek w popiele... I zasypiać ich nie myśl!

Bruno Winawer.



Potężny Douglas P. L. L. „LOT” na chwilę przed startem na Południe: do Bukaresztu, Aten, Rodosu i Palestyny.



Wnętrze komfortowego samolotu Douglas DC 2, którym szczęśliwy laureat konkursu „Metro-Goldwyn-Mayer” i „Wiadomości Literackich” (patrz numer następny) odbędzie lot na Rodos (morze Egejskie). Kabina pasażerska posiada 14 wygodnych foteli, z których każdy zaopatrzony jest w osobny stolczyk, popielniczkę, wieszak, dzwonek i lampkę do czytania.

Jan Parandowski.

Wesoły dekadent à la russe

K. I. Gałczyński. Utwory poetyckie. Ołkiadka z oryginalnego drzeworytu W. Podolskiego. (Warszawa), „Prosto z Mostu”, (1937); str. 214 i 2nł.

Miło jest wśród towarzyszy „dobrej myśli” (że użyję tego dziwnego staropolskiego terminu) natrafiać na utalentowanego, niewyczerpanej fantazji wesołkaimprovizatora. Taki to na stole tańczy i pod stołem leży, a usta mu się nie zamykają, plecie co mu ślina na język przyniesie, pewny życzliwego spotkania w atmosferze wszechsympatii i alkoholicznego braterstwa. Wszystko podoba się słuchaczom: i łatwość, potoczność tych improvisacji, i ich potoczny „wiechowaty”, „żargon” („założę twój szmaragdowy pierścień...”), w utworze „serjo”), i szampańskie wysoki wisielczego humoru, i niespodziewane przeskokki od wesołej bzdury do makabryczności; tu strząsł dowcipu i satyryczne aluzje do aktualności, ówde melancholijne refleksje i konstatacje wszystkim znanych smutków życia; spiewki w zmiennym rytmie pieśni cygańskiej, to zawodzącej to skocznej (od „bieższabaznowy ułdali” do „toski!”), śmiejące kontrastowością nonsensownych w kontekście refrenów („skumbria w to macie...”), powtarzanych chętnie przez całą kompanię. Taka właśnie jest aura twórczości Gałczyńskiego, pełna uroku nieodpowiedzialności, i w trafnym obliczeniu na specyficzną recepcję ze strony czytelnika czy słuchacza kryje się sekret jej powodzenia.

Jaskrawy strój tego wysoce utalentowanego żonglera jest, comme de raison, zszywany z różnobarwnych kawałków. Tak się nosił „joculator” średniowieczny, a rola ta bardzo do serca przypada nowoczesnemu rybakowi: zgola jako „jongleur de Notre Dame” występuje w jednym wierszu („Serwus, Madonna”) — zbyt grubym to jednak pachnie żartem, za daleko tu nie tylko od naiwnego uroku świątobliwej legendy, ale i od bolesnej religijności Villona, na którego chętnie stylizuje się autor. Blżej już do jocularów naszych czasów, rozweselających nie Madonnę, lecz dobrze płacącą publiczność teatrzyków rewjowych; niedjedn kuplet, niedjedna piosnka mogłaby się stać szlagierem programu, niedjedn wierszyk jest wzorem uroczej satyry politycznej; taka np. „Zima z wypisów szkolnych”.

Nie od Villona też wywodzi się wysuwający się na czoło z wielkości utworów nastrojów desperacji, wyczekiwania końca, samoopłniania, wątpienia o sobie [zropzczenia o własnym zbawieniu — grzech przeciw Duchowi św.], o sobie jako o klasie, o klasie inteligencji:

Wciąż uciekamy. Z miasta do miasta.
Inteligenci.
Tęskniacia nacja. Giniąca klasa.
Małi, zmarnięci.
..... a my placemy
Jak woda morska.
Pod szczeniową palmą listy piszemy
Na brudnych dworcach.

Sama już rytmika tych wileńskich wierszy, nie mniej niż ujawnione w tekście miejsce ich powstania, wskazują na środowisko poetyckie, w którym te uczucia, jeśli nie po raz pierwszy opanowały poetę, to przynajmniej znalazły podatny grunt do rozwoju. To poeci „Zagarów”, wśród których Gałczyński dłuższy czas się obracał, lubowali się w wyrażaniu — trzeba przyznać, niekiedy z przejmującą ekspresją — nastrojów kończącego się świata, ponurej wiary we własny upadek; stało to u nich w związku z wyznawaną historiozofią marksizmu (któremu obcy jest nasz poeta), ale zabarwiała się swoistym romantyzmem, tem silniejszym czasami, im mniej romantyczna była leksyka tych wieszczów apokaliptycznych. Z zacytowanym przed chwilą ustępem specjalnie nadaje się do zestawienia taki fragment z drugorzędnego, ale bardzo typowego poety, Maślńskiego: „...Na ślepych torze katastrofą pijaną kończymy jazdę. I napróżno ekliwie i cichutko modlimy się zwiędłymi ustami: brudny kołnierzyk, cyganerie, wódki, przyczyni się za nami, za poetami! Może ostatni już raz łysiny coraz szersze oglądamy w pół czarnej!”...

Orientalizm Lange

Prace Podolskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Tarnopolu. Nr. 2, Franciszek Machalski. Orientalizm Antoniego Lange (z zarysem bibliografii). Tarnopol, 1937; str. VIII i 166 i 2nł.

Franciszek Machalski w warunkach nie sprzyjających pracy naukowej — jest nauczycielem gimnazjalnym na prowincji — ogłosił ciekawą pracę z pogranicza orientalistyki i polonistyki. Badania nad orientalizmem Langego rzucają nowe światło na twórczość oryginalną poety samotności i śmierci. Autor przedstawia zasługi Langego jako tłumacza literatury wschodnich, analizuje technikę pracy tłumacza i ustala wartość przekładów.

Wtajemniczenie poety w literaturę wschodnią trwało dłuższy czas. Niechęć znanego językoznawcy i orientalisty prof. Gawronskiego do tłumaczeń Langego staje się częściowo zrozumiała, gdy się dowiadujemy, że Lange zaczął karierę orientalistą od pomieszanania „somy” (świątyni napój oszołomiaczy) i „samy” (część „Wedy”, zawierająca pieśni). A choć pod koniec życia Lange był w stanie przygotować na przyjęcie Tagorego przemówienie w języku sanskryckim, to jednak trudno nazwać poetę znawcą języków wschodnich. Jak się okazuje, Lange opowiadał nie tylko sanskryt i język sta-

Z bardziej poetycznym patosem, w otoczeniu dekoracji wybujałe romantycznej, z „ciężką bluznierczą modlitwą” na ustach, z przyrodzoną sobie powagą, te same eschatologiczne nastroje wyrażał Miłosz. Poza Wilnem zresztą manifestowały się one już dawniej. Jeśli chodzi o prozę powieściową, najbliższe do Gałczyńskiego tematycznie u Witkacego: podobieństwo deskrypcji orgiastycznych w „Pożegnaniu jesieni” np. a takiego np. „Balu u Salomona” Gałczyńskiego — uderzające. Blżej pod względem rodzaju literackiego, bo w liryce, katastrofizm znaleźć można w utworach Tuwima, tych zwłaszcza w których wyraża się anarchistyczny stosunek jego do państwa i do wszelkiej zorganizowanej wspólnoty; oczekiwana katastrofa jest tu sprzymierzeńcem, wita się ją okrzykami przykrej raczej dla reszty rodzaju ludzkiego radości. W tem tkwi różnica, ale ileż więcej jest rzucających się w oczy zewnętrznych nawet podobieństw, zwłaszcza z Tuwimem, że tak powiem, drugiego gatunku, produkującym się na „jarmarku rymów”, brutalnie-sentymentalnie-groteskowym, w tej postaci wyłącznie znanym do dziś dnia szerszej publiczności, słuchającej z estrad „Rewolucji w Niemczech”, „Chrystusa Młota” i „Zośki-warjantki”. Z Tuwimem bujnym, rozbrykanym, po cygańsku rozwichrzonym, wymykającym się spod kontroli, nie znających wiewów reguł — pokrewieństwo nie tylko w podejściu do analogicznych tematów. Parantela to nie bylejak dla poety; jeśli zaś nie zadowala jego rasizmu, to muszę go uspokoić: jest bardziej niż z krwi jest to pokrewieństwo z innego płynu, z Bachusowego moczku czy z wody (zdrobniałej!) Hippokreny.

Wszystkie ujawnione dotąd pokrewieństwa wskazują wyraźnie na wspólne źródło: jest nim „chandra unyńska”, towar którego nikt z wymienionych importerów z Rosji nie mógł pominąć. Jedynym na nią antidotum jest to co Blok swym patetycznym i magicznym językiem nazywa „ciemnym morok cygańskich pieśni”, a co w swej najgłębszej istocie jest rozkoszą pochylenia się nad przepaścią nicości, gdy „nie można objąć nie objętego” (że użyję nieśmiertelnej formuły Koźmy Prutkowi): a to jest wszak najnamyślniejszym pożądanym ruskiego człowieka. Wszelka cywilizacja przedstawia mu się w swej ograniczoności jako szluzna, mizerna i niegodna zaufania. Żeby zająć twarzą w twarz nieskończoności, choćby negatywnie, trzeba zniszczyć wszystko ograniczone, aż do własnej moralnej i fizycznej istoty włącznie. Człowiek niszczy siebie w szale dionizyjskim samozniszczenia, staje się bardziej godny podziwu w swym upadku i poniżeniu niż pożałowania lub — tem bardziej — pogardy. Stąd też obsesja katastroficzności i rozkosz samoponiżenia.

Powyzsza bardzo pojemna formuła specyficznie rosyjskiego liryzmu i specyficznie rosyjskiej postawy życiowej (nie tylko poetów „upadu” i „upadocznosti”), odczytując za obszerna dla Gałczyńskiego, korzystna jest dla ujęcia niewątpliwego nihilizmu, którym dyszy jego dzieło. Jeśli się je porówna z poezją Hemara, przeciwieństwo bardzo poetyckiego kabaretowego, humorysty i prześmiewcy, to wbrew oczekiwaniom, wbrew kalkulacjom rasistowskim na ironię i sceptycyzm, więcej w niej znajdziemy akcentów pozytywnych, więcej poważnej satyry, niedwuznacznie określającej stanowisko autora (np. niedawno opublikowany w „Słowie” „Sen pułkownika”) nie u Gałczyńskiego. Nawet w tych dziedzinach, w których mielibyśmy prawo spodziewać się czegoś powiedzianego na serio, w religijnej i w patriotycznej, napotykałyśmy rzeczy albo nie wzbudzające zaufania do szczerości uczuć autora, albo wręcz niepokojące. „Ale ta cała niepodległość ciąży na plecach mi jak garb”. Jest to wprawdzie mowa pośrednia, delator powtarza słowa „romantyka”, ale nie się tym słowom gdzieindziej nie przeciwstawia. Nihilizm i zdziwienie światem wypowiadają się to bezpośrednio, skargą lub sarkazmem, to popychają poetę do mniej lub więcej nieprzytomnych figlasów: „Co robisz Kosti? Ot zapuściś butelkę w lustro, czy co? Sardynki pływać pouczyć?”... A na tre-

żwo sam wznaje przyczyny: „Ot, widzi pani, dola niegodziwa: 1) załamanie, 2) upodlenie, 3) rozchwanie i 4) zagubienie, cztery punkty: epilepsja wrednora”.

Recepcja tej rosyjskiej chandry, czy poprzez literaturę czy bezpośrednio (poeta, jak się dowiadujemy z notatki na ołkiadce, spędził chłopięstwo w Rosji), tem niebezpieczniejszą przybrała formę, że u warszawiaka. Przeciwno trującym pierwiastkom psychiki rosyjskiej najlepiej są zabezpieczeni Polacy z kraju, w którym wiekowy kontakt z Moskwą w nieustannej walce, orężnej lub duchowej, był szczepionką ochronną, Polacy z kraju Piłsudskich, Studnickich. Królewski, po przełamaniu pierwszych lodów obcości kulturalnej, po oswojeniu się z odmiennością zewnętrzną (na co trzeba nieco czasu), rusyfikował się najszybciej, podawał się najgłębiej i bez wyboru urokom Rosji i Rosjan, poznanych powierzchownie, bez rozróżnienia tego co w nich specyficzne i bez zdarcia maski z ich swoistej obłudy. Węć też Gałczyński stawia dobroć i gościnność Rosji, szerokie, rozpościerające się aż „na koniec świata” swym obyczajem. Istotnie bardzo szeroka: dla królewskiego zaczynała się ona tuż za Łapami, bodaj już za Małkinią, tam gdzie teraz umiejscowione są „kresy”: nie dziwne, że i Wilno mu Rusią pachnie i „Wilenka, rzeczka mała, swarłiwa, lkająca czarno, ciemno, po rosyjsku”. Skąd tu zdobyć się na imperializm, poczuć swe prawo do Mińska? Rosja, rosyjskość... W tej rosyjskości napewno tai się korzeń nieprzytomności, nieodpowiedzialności, bekształtności Gałczyńskiego jako artysty.

I tu znów nasuwa się porównanie z Hemarem. Łączy ich, najogólniej biorąc, identyczność uprawianego rodzaju literackiego, a czasem nawet poszczególnych chwytów ekspresji. Taki aforystyczny kuplet:

Wszystko względne. Inny pójdzie w sport,
będzie byczył się i będzie ćwiczył,
ten ma kielich wina, ten gorczy,
jeden nędzarz jest a drugi lord

mógłby być zaśpiewany ze sceny któregośkolwiek teatrzyku, korzystającego ze współpracy Hemara; rabełowski nagromadzenia, zrymowane ze złością cyrkowca, śmiejącego nawet swemi upadkami, zdarzają się u Hemara („Małżeństwo doskonałe”) i u Gałczyńskiego (jako części składowe dłuższych utworów). Obu właściwa jest miła naturalność stylu, potoczność, mówienie wierszem tak jak prozą, bez uciekania się do leksyki poetyckiej; przykładem tego może być u naszego poety uroczą żartobliwość erotyka „Miła moja!” u Hemara jest tego c wiele więcej, częściej spotykamy dobre i celowo skomponowane całości, dalej jesteśmy od bachelicznego improvisatorstwa, pomimo zastrzeżenia sobie przez satyryka swobody „pohulać, gdy go zaświerbi jeźor”, dalej jesteśmy od nieodpowiedzialności słowa i myśli. Przykładem takiej nieodpowiedzialności jest u Gałczyńskiego (już poza ramami jego twórczości poetyckiej) jego posłowie, jego manifest przeciwko „fałszowanej poezji” i władzy koteryj literackich, z jego jarmarczna brutalnością inwektiw, naśladowana potrosze z dawniejszego Nowaczynskiego, a trochę przywodząca na myśl jeszcze jedno pokrewieństwo: z Majakowskim, „krzykocystym” poetą, z niegłogowego policką ulic spływającym niepotrzebną łzą”.

Ani niniejsze uwagi, pomimo swych rozmiarów, ani przyciągnięte dla porównania zjawiska poezji — nie wyczerpują kwestii Gałczyńskiego, który w swej książce ukazuje inne jeszcze, niezupełnie odpowiadające podkreślanym rysom, możliwości, np. w gatunku odpowiadającym pseudoklasycznej poezji opisowej („Opis domu poety”). Talent to bardzo dużego kalibru — inaczej nie zastanawiałby się nad nim tak długo. Daleko mu jeszcze do ostatnich osiągnięć — choćby „fantazysty” czy „populisty”: bez dyscypliny wewnętrznej, bez wzięcia odpowiedzialności za słowo, tych osiągnięć może nie będzie.

K. W. Zawodziński.



5400 mikro-

s k o p i j n y c h
oczek zawiera i centymetr kw. sita jedwabnego, przez które ciśnienie powietrza przetłacza masę pudrową. Puder zostaje zatamowany, przetwarzając się w subtelny pył. Miałkość pudru jest absolutna, a dalsze procesy nadają mu zabarwienie i zapach. Indywidualne własno-

ści cery stanowią o wyborze pudru. Cery tłuste wymagają pudru Higienicznego, cery suche normalne — Egzotycznego. Pudry D-ra LUSTRA nie zawierają części metalicznych, nie szkodzą skórze, nie zatykają porów, a lekko opylając skórę, nadają jej wygląd świeży, młodzięcy i delikatny.

Powieść z życia girlsy

Marja Ukniewska. Strachy. Warszawa, „Rój”, 1938; str. 357 i 3nł.

Teresa Sikorzanka, bohaterka powieści Ukniewskiej, jest dzieckiem szczęścia. Jako szesnastoletnia dziewczyna dostaje się do zespołu girls w jednym z rewjowych teatrzyków warszawskich, a po trzech latach burzliwej życia scenicznego, wychodzi zamaż za popularnego aktora rewjowego, właściciela placów i domów, człowieka bogatego, niepozabawionego nawet ambicji pisarskich.

Wszystko się w życiu panny Teresy układa dobrze i pogodnie, chociaż teatralny świat młodej girlsy wypełniony jest demonizmem i przerażeniem. Młoda Sikorzanka zostaje cianerką, bo jest ładna a matka jej marzy o karierze „à la Kawecka” dla swej córki i w środowisku szewca Konstantego Sikory nawet nie myśli o aspiracjach lub powołaniu artystycznym. Teresa musi cały swój marny zarobek przynosić do domu, bo ojciec nie troszczy się ani o żonę, ani o dzieci.

Nic też dziwnego, że świat „Szalejącego Teatrzyku” i „Złotej Kurtyny” stał się dla młodej, pełnej temperamentu dziewczyny światem strachów. Rytm zakulisowego życia, jego rygor i surowość, jego swoista obyczajowość i groteskowy realizm przetwarzają szybko dziewczęcą naiwność i prostotę w dojrzałą i rafinowaną kobiecość. Teresa, pozostawiona samej sobie, narażona na wszystkie t. zw. pokusy życia, napastowana przez mężczyzn, kochana lub nienawidzona przez koleżanki, zapędzona wreszcie na prowincję do trzeciorzędnej teatrzyku i kina, odczuwa nagle „tęsknotę za kimś, kłoby ją wziął w obronę, w opiekę lub ponościł za nią odpowiedzialność”. W tym właśnie momencie, może nawet przez Teresę niezupełnie uświadomionym, zamyka się kariera artystyczna girlsy, która jak tysiące innych dziewcząt, marzy ażeby zostać żoną, matką i gospodynią. Marzenia te realizują się w amerykańskim tempie. Ukochany przez Teresę aktor, skomplikowany psychicznie brutal, zostaje ojcem jej dziecka, otacza swoją przyszłą żonę romantyczną tkliwością, buduje dla niej willę i... zamyka jej drogę do teatru. Szczerliwie skończyło się tylko na strachach. Życie Teresy weszło na normalne tory.

Jeżeli taka miała być idea powieści Ukniewskiej, trzeba stwierdzić, że debiutująca pisarka rozwiązała postawione sobie zadanie z rozmachem, dojrzałością i szczególnie pociągającym poczuciem rzeczywistości. Pewną ręką przeprowadziła swą bohaterkę nie tylko przez piekło ro-

dzinnego domu, w którym nikczemność ojca walczyła o lepsze z kołtuństwem matki, ale ukazała Teresę w sposób najbardziej autentyczny, na tle wielkich i małych tragedji zakulisowego życia teatrzyków, w których złość i intryga, głupota i lekkomyślność sąsiadują z egzaltowaną przyjaźnią, ofiarnością i surowym, codziennym, osobistym wysiłkiem. Życie girlsy, a więc osobki, pozabawionej niejako własnej indywidualności i wręczniętej w zespółową pracę, posiada czar i wdzięk tylko od strony widowni; oglądane od kulis, jest pasmem udręki, w której każda z dziewcząt pragnie wyzłocić się jak najszybciej. Nie wszystkim udaje się, jak Teresie, która zanim dobiła do brzoju, znalazła się na granicy zbrodni, obłudy i samobójstwa. Jedynie silny instynkt życia ochronił ją od losu, jaki zgłotowała sobie nieszczęśliwa Paulina Kłosek.

Z uśmiechem i obiektywizmem scharakteryzowała autorka to hermetycznie zamknięte, dla postonnej obserwacji niedostępne środowisko małych teatrzyków, małych ludzi i małych spraw. Umiiała z niego wydobyć wysoką skalę napięcia, odsoniła melodramatyczne konflikty, w których brutalność wiąże się w przedziwny sposób z komizmem, i ukazała szereg postaci, potrakowanych na serio lub półserio, ale zawsze z wdziękiem, poczuciem prawdy i sentymentem.

Teresa Sikorzanka jest postacią nową w naszej powieści, nie tylko z uwagi na środowisko girls i solistik, dyrektorów i reżyserów, kiniarzy i magików, uwodzieli i aferzystów; oryginalny wdzięk tej osoby wynika z jej ultrakobiecego stosunku do życia i otoczenia. Autorka „Strachów”, w przeciwieństwie do swych starszych i dojrzałych koleżanek po piórze, ani nie upiększa swojej bohaterki, ani jej zbyt nie komplikuje. Pokazuje tylko, że „das ewig weibliche” zawsze w końcu odniesie zwycięstwo nad ograniczonym samcem, który daje się posłuszenie prowadzić na pasku sentymentu, przywiązania, hysterji a nawet perfidji. To bardzo prawdziwe podejście do sprawy pici i związanych z nią konfliktów przypomina w swoim groteskowym realizmie wedykindowskie ujmowanie rzeczywistości.

Moznaby zarzucić autorce „Strachów” pewne usterki kompozycyjne, zwłaszcza w ostatnich rozdziałach powieści, poświęconych ustawicznemu kłótniom i godzeniu się kochanków. Ale wszystkie błędy okupuje pisarka galerią świetnie zaobserwowanych postaci i szeregiem pysznych obrazów.

Emil Breiter.

TUWIM DLA DZIECI

Lokomotywa. Rzepka (według starej bajeczki). Ptasie radio. Napisał Julian Tuwim, ilustrowali Levitt i Him. Warszawa, J. Przeworski, 1938; str. 48nł.

Książkę tę należało zaliczyć do ewenementów w dziedzinie literatury dla dzieci. Zarówno całość jak i jej poszczególne składniki, więc format, układ tekstu, oprawa graficzna, piękno, rytm i bogactwo onomatopei wiersza, stanowią pozycję niezwykłą, daleką od banału i przeciętności.

Sam temat pierwszego wiersza — lokomotywa — jest dla dziecka czemś nielada frapującym. Pociąg jadący w daleki obcy, a więc tak bardzo ciekawy świat, wagony pełne nieznanych ludzi i przedziwnego ładunku, to motywy tych awanturniczych i samorządnych zabaw, kiedy to „dom przewraca się do góry nogami”. Przykładnie stojące pod ścianami krzesła pędzą naraz przez środek pokoju, sapie, dyszy, gwizdzą lokomotywa-stolek kuchenny. Z okien „na niby” wychylają się podnieceniem podróżą pasażerowie: lalka z utraconym nosem, kulawy pajac, wyleniały miś. Dokąd mknie ten szalony pociąg? Tego nikt z nas, dorosłych, nie wie. Może do ciepłych krajów, zaczynających się przy piecu? Może na mroźny biegun przy oknie, za którym praży lipcowe słońce? Kierownikiem takich wypraw jest nieprzebrana w swych pomysłach fantazja bawiących się dzieci.

I tak też właśnie pędzi pociąg Tuwima.

Każda strona jest sugestywna, melodia i rytm Tuwimowego wiersza wpadają w stukot prawdziwych buforów, świszczą para, tłoki obracają wielkie koła ze stali, na papierowych kartkach książki rozciągają się żywe, zielone pola, piętrzą się góry i czerni naziemniejszy, najprawdziwszy tunel. Rysunek podąża za tekstem w zgodnym, nierozłącznym rytmie. Świetnie skomponowany każdy najdrobniejszy szczegół, precyzyjnie zakreślona każda linijka wchodząca w tekst.

A potem następuje awantura z „rzepką” (według starej bajeczki). To drugi wiersz w zbiorze. Ustają w nim odwieczne spory wobec konieczności zbiorowego wysiłku. Zbiegają się więc skłócone zwierzęta: pies wzywa kota, kot kurkę, powstaje łańcuch, który zamyka posłuszną boćkowi żabka.

Czyż mogła uparta rzepa nie ustąpić wobec tak zorganizowanej siły? Może niedjedna ośmioletnia „skarżypyta” wyciągnie mimowoli z tej opowieści naukę moralną, zwłaszcza że moral podany jest tak wesoło. A wesołość, to właśnie najskuteczniejszy środek pedagogiczny.

Teraz następuje część trzecia: „Ptasie radio”. To już koncert nad koncerty. Tak właśnie potrafi śpiewać tylko ptaki, tak właśnie potrafi tylko pisać Tuwim, rozumiejący ptasią mowę, na wzór, znanego dzieciom całego świata, wielkiego czarodzieja „doktora Dolittle”. Bo czyż to nie prawdziwa ptasia mowa:

I odrzuć wszystkie ptaki
W szczebiot, w świergot, w zgłęk —
o taki:
Daj tu! rzuć tu! co masz? Wiórek?
Piórko? Ziarno? Korek? Sznuerek?
Pójdź tu, rzuć tu! ja ćwierć i ty ćwierć!

Lepiej gniazdko, przylep to,
przysięgaj!
Widzisz go! nie dam ci! mojej! czyje?
Gniazdko ci się wije, wije, wije!...

Janina Broniewska.



*
Wydaje mi się, że wszystko najbardziej istotne, co można powiedzieć o ilustracjach do „Lokomotywy”, „Rzepki” i „Ptasiego radia”, ujął mój siedmioletni synek w tem krótkim zdaniu: „Obrazki do książki pana Tuwima są śliczne”. Czy potrzeba jeszcze coś dodawać do tego określenia? Wykazując przy pomocy szczegółowego i pedantycznego rozbioru, na czym polega urok i wdzięk tych delikatnych i pełnych humoru akwreli, przypominających ujęciem to rysunki dziecięce, to współczesną grafiką reklamową, przede wszystkim zaś i nade wszystko w swych niespodzianych i szczegółowych pomysłach tak bardzo „levittowo-himowski”? „Levitt i Him szukają nowych dróg” — taki napis miał w swoim czasie ich plakaut-autoreklama. Dodajmy od siebie: nie tylko w grafice użytkowej, ale i w książce dla dzieci.

Reprodukcje, wykonane techniką offsetową, oddają świetnie wszystkie finezje rysunków i akwreli oryginalnych.

Mieczysław Wallis.

JÓZEF PIŁSUDSKI PISMA ZBIOROWE

Opracowali: L. Wasilewski, W. Lipiński, K. Świtalski, J. Moszczeński i H. Wereszycki. Przedmowa W. Sławka.

Nakład Instytutu Józefa Piłsudskiego

10 TOMÓW

CENA 40.— ZŁ.

DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH

Skład główny w Księgarni W. Michałaka i Sp.

Wacław Kubacki.

26 MARCA — 10 KWIETNIA 1938

TWÓRCZOŚĆ LITERACKA ANDRZEJA STRUGA
Metody pracy pisarskiej. — Rękopisy. — Pierwodruki dzieł. — Ikonografia. —
Materiały życiorysowe.
Wystawa w nowym pawilonie Biblioteki Publicznej, Koszykowa 26,
od 10 — 14 i 16 — 19.
Wstęp 20 gr., dla zgłoszonych wycieczek zbiorowych po 5 gr. od osoby.

„Perły korony“ w „Rialto“



Scena ze znakomitego filmu Sachy Guity „Perły korony“, wyświetlanego w kinie „Rialto“

NOWE FILMY

PERŁY KORONY (R i a l t o)

Ma to więc być dramat historyczny, wielki i sensacyjny. Siedem pereł stanowiło naszyjnik Katarzyny Medycejskiej, cztery z nich znajdują się do dziś w angielskiej koronie, a trzy? Tych trzech pereł na przestrzeni historii i swego filmu poszukuje Sacha Guity. Lecz jak każdy Francuz, ma on poczucie względności rzeczy i poczucie humoru. Naiwny realizm zwykłych dramatów historycznych, gruboskórne złudzenie i wciąganie widza w fabułę, która „była naprawdę“ — to wszystko jest za bardzo na serio, za mało dowcipne i koniec końcem za bardzo zakłamanie. Jak było naprawdę? Za tem pytaniem staje Sacha Guity frywolnie uśmiechnięty, rzuca jedno krótkie i nieprzystojne francuskie słówko, spogląda, przymrużywszy oko, w głąb historii i wyciąga, jak z kufra, kawałki, kawałeczki, nadgrzyzione przez mole jedwabie, zarznięte tragedie, zapomniane uśmiechy, zgubione perły i zszywa z tego dramat — przed naszymi oczami, na ekranie. Historyczne postaci ekranowe nie szukają swego autora. Autor, Sacha Guity, jest tuż obok, gada niezmordowanie przez wieki i godziny, jako współczesny poszukiwacz pereł, jako Franciszek I, jako Barras i Napoleon III — idzie urojonym śladem cudownych pereł, zawirusza się, odnajduje — i tworzy film. Jak było naprawdę? — Licho wie. Co komu przeszkadza do tego? Jedna jest prawda: ja — Sacha Guity — mam ochotę być czarodziejem i zrobić dramat historyczny — ot tak sobie, z abrakadabry.

I czarnoksiężstwo udaje się wspaniale. Scenki historyczne są krótkie i bogate, przez ekran przebiega nieskończony szereg znanych postaci, jest król francuski Franciszek I, i angielski Henryk VIII, i papież Klemens VII, i Anna Boleyn, i Katarzyna Medici, i Maria Stuart, i Józefina Beauharnais, i cesarzowa Eugenia, i Napoleon III — historyjka biegnie w coraz szybszych skrótach aż dośięga naszych czasów i nieoczekiwanie lądje na pokładzie francuskiej „Normandie“ — tropienie przez wieki pereł odnajduje się nareszcie, i już ma się rozwiązać i dramatyczna zagadka — wtedy okazuje się, że jedna z nich jest fałszywa i zamienia się na prosek pod uderzeniem młotka, a druga gubi Sacha Guity w ferworze rozmowy: upuszczona niebacznie, wpada do morza. Zagadka pereł jest rozwiązana i zgubiona czempredzej. Pereł nie ma, pozostaje tylko ich dramat.

Droga, która kroczy Sacha Guity w tym filmie, jest podobna do tej, jaką obrał w „Romansie szulera“. Opowiadanie ramowe w „Romansie szulera“, jednokrotne i proste, tu jest rozbudowane, rozszkiepczone na wiele torów, obrazów i scen, tam utrzymama była jedność życia szulera — tu sam bohater zwielokrotnia się, tam była jedność czytane go tekstu — tu sam tekst jest imaginacyjny i nieznanie zamienia się na ciąg dalszy rzekomego dramatu historycznego. W zrelatywizowaniu akcji, w wielokrotności jej cudzość jest jakby pirandellizm, w dowcipnej trawestacji historii jest ślad France'a, film nie posiada wprawdzie ani dramatycznej głębi Pirandella, ani filozoficznej ironii France'a i w szczególności jest zapewne tylko zabawką — lecz nie jest zabawką w samym pojęciu. Pomysł jest nowy, świeży i otwiera dla filmu zupełnie nowe możliwości.

Trudno wylizać aktorów, ponieważ

jest ich wielu. Wszyscy zresztą grają doskonale. Są to aktorzy francuscy, angielscy, włoscy, z ekranu rozbrzmiewają nasprzemiem te trzy języki w świetnie i do wcielenia prowadzonych dialogach. I to jest jeszcze jedna i bynajmniej nie mało ważna inowacja. Film jest międzynarodowy i poliglotyczny.

Pikantnym paradoksem jest to, że w chwili gdy Niemcy wysyłają się na film „narodowy“ i nie mogą w żaden sposób oderwać się od amerykańskich pierwowzorów — Francja tworzy film międzynarodowy i wielojęzyczny, nawskroś francuski i wszystkimi korzeniami tkwiący w kulturze francuskiej.

KOBIETY NAD PRZEPĄSIĄ (Victoria)

Nie należy odnosić się z pogardą do tematów filmowych, opartych na handlu żywym towarem. Są to tematy o dramatyczności niezawodnej, zahaczającej mocno o psychofizyczny ustrój widza. Najbardziej krytyczny czy ironiczny widz nie opuści kina nim „ona“ nie zostanie zgwałcona i nim „oni“ nie zostaną schwytani przez policję. Taki temat, to rzecz nie do pogardzenia.

Scenariusz tego filmu wyszukuje zgrabnie przyrodzone właściwości tematu, wiąże przemysłnie i dramatycznie wielorakie nici. Można go uznać za zupełnie dobry, gdyby nie opierał się zbyt beceremonijalnie na analogicznym filmie francuskim. W znany wątek szajki handlarzy i szkoły tańca, służącej za biuro stróżące, wprowadza jeden tylko motyw „rodzimy“, tragedię łowieckiej chłopki, uwikłanej w siłą zbrodniarzy. Lecz ten właśnie rodzimy łowiecki epizod wypadł w wykonaniu najgorzej. Reżyseria filmu jest w całości zupełnie niezła, lecz reżyserja tego właśnie kawałka wydaje się cyniczna. Dialogi chłopki pobudzają gwałtownie do śmiechu, choć sceny, z którymi są związane, mają działać bardzo tragicznie.

Wykonawcy ról dzielą się wyraźnie na dwie grupy: aktorów teatralnych i aktorów filmowych. Pierwsi — w szczególności Stanisława Wysocka, Junosza-Stępowski i Andrzejewska — grają bardzo dobrze. Z drugich wybija się na pierwszy plan Nora Ney. Lecz aktorzy filmowi nie umieją w żaden sposób przystosować polskiej mowy do ekranu. Należałoby wprowadzić uczę aktorów filmowych, aby mówili prosto, szybko i koniecznie bez „uczucia“.

KURJER CARSKI (Atlantyk)

Aureola samoderżawia ma niesłabnącą moc działania na demokratycznych synów demokratycznej Ameryki. Ciągłe i bez końca wracają filmy błyszczące od carskich mundurów, lśniące od wierno-poddania i dworskiej pompy. Ten film okraszono nowym dodatkiem: Tatarami. Straszni Tatarami wyniesionymi w bezsenne hollywoodzkie noce, pomalowanymi w czarne i białe pasy, przybranymi w stare suknie amerykańskich babek i w sterzące na głowach kity. Kurjer carski pędzi aby doręczyć plan wojenny działając Jego Cesarskiej Wysokości, a Tata-ry tymczasem wymachują mieczami, wylupiają oczy, wrzeszczą i kręcą się wokół jak w koszmarnym śnie. Cały film jest koszmarnym snem reżysera, któremu źle się powodzi.

Stefania Zahorska.

Szymanowski a płyty

Hollywood, w marcu 1938.

Niemca w Azji kraju bardziej świadomego muzyki zachodniej i bardziej chłonnego jeżeli idzie o nowość w tej dziedzinie, niż Japonia. Świadczy o tem niebywały rozrost przemysłu gramofonowego, w którym naczelną i pionierską rolę grają dwa wielkie koncerty: „Columbia“ i „His Master's Voice“, występujący tam pod marką „Victor“. Obie te instytucje posiadają w Japonii własne wytwórnie. Z matryc nagrywanych w Europie czy w Ameryce odbijają płyty na użytek wewnętrzny rynku, który aż do ostatniego roku odznaczał się rekordową pojemnością. Płyta japońska jest najtańsza na świecie i — mimo różnicy zdań na ten temat — nie jest gorsza od robionych w Europie czy w Ameryce.

Japońskie katalogi „Victora“ i „Columbia“ zawierają w rezultacie całkiem reprezentacyjny zespół nazwisk i utworów nie tylko klasycznych, ale także muzyki współczesnej. Oddawna przeglądając te katalogi systematycznie, wyczekiwałem aby wśród nowych nagrań pojawiło się wreszcie jakieś reprezentacyjne dzieło Karola Szymanowskiego. Nie przez koncerty bowiem poznać go może i ośwoić się z nim muzykalna publiczność zagranicą — jednorazowe „wykonanie“ któregośkolwiek opusu jest bowiem niczem w porównaniu z wcieleniem jego nazwiska do katalogu nowych płyt, jeżeli idzie o dostęp do publiczności. Przypadek odsłonił mi w jednym z katalogów „Victora“ płytę z „Fontanną Aretuzy“ Szymanowskiego, wciągniętą na listę nie pod nazwiskiem kompozytora, ale wirtuoza, który ją gra, francuskiego skrzypka Thibaud. Podobnie przypadkiem, bo pod nazwiskiem Heifetza, znalazłem „Pieśń Roksanę“ w opracowaniu Pawła Kochańskiego. Widocznie firma przygodnych wykonawców jest dla redaktorów katalogu źródłem większej atrakcyjności, niż nazwisko największego współczesnego kompozytora Polski. W katalogach pod Szfigurę jedynie Sostakowicz. Nie byłbym może tej sprawy dotykał, ani jaskrawości jej podkreślał, gdyby nie nowa płyta — tym razem dowód, że w tem przemileczanym Szymanowskim jako pozycji jest jakaś niezrozumiała metoda. Dzisiaj bowiem, już w nowym katalogu „Victora“, pod nr. 14 383 A i B znajduję nagranie „Notturna“ i „Tarantelli“ (op. 28, nr. nr. 1 i 2). Oba te utwory katalog podciąga pod pozycję Menuhina, odmawiając zwykłego przywileju wciągnięcia ich na listę także pod nazwiskiem kompozytora. Nazwisko to figuruje oczywiście na płycie.

Finlandia w osobie Sibeliusa wyrobiła sobie dzisiaj ambasadora swojej współczesnej kultury muzycznej, znanego i granego wszędzie. Nikomu na myśl nie przyszłoby szukać utworów tego kompozytora pod nazwiskiem jego wykonawców. Szymanowski pozostaje w cieniu. Pozostaje nazwiskiem brzmieniem pełną wartością i wielkością swoją dla niewiele tylko poza Europą. Nie wiem jakich „masonów i żydów“ pociągnąć do odpowiedzialności za tolerowanie tych zaniedbań, opóźniających powszechność uznania i zrozumienia muzyki Szymanowskiego. Nie do mnie należy wyciąganie wniosków. Chciałem się jedynie upomnieć o jego prawo.

Aleksander Janta-Polczyński.

RADJO

„PORANEK PUSZKINA“ IWASZKIEWICZA

Śluchowisko to stanowi pierwszy akt nowej sztuki Iwaszkiewicza. Fragmentaryczność więc i teatralne przeznaczenie utworu nie pozwalają na zdecydowane sformułowanie o nim opinii. Stwierdzić jednak można, że w porównaniu z „Latem w Nohant“ sztuka posiada strukturę ściśle dramatyczną, o większej koncentracji elementów akcji, silniejszych kontrastach i potężniejszym ładunku dynamicznym. Te cechy wydatniają się tem bardziej że nadany przez radio fragment obejmuje zasadniczo pierwszą fazę sztuki, wprowadzenie w pełną udręk atmosferę ostatnich miesięcy czy tygodni życia Puszki. Autor nie zatrzymuje się długo na ekspozycyjnej równi, lecz w szybkim, a z punktu psychologicznego słuchacza (czy widza) doskonale rytmicznym tempie mobilizuje szereg materialnych i psychicznych czynników, których konsekwentne współdziałanie uczyni — jak można przypuszczać — śmierć bohatera nieuchronną koniecznością. Z czynników tych motyw zazdrości o żonę wysunął się w ujęciu radiowym może zbyt silnie na plan pierwszy. Ten mocniejszy akcent, nadający urykowi pełną całość, posiada w danym wypadku swój dramatyczny sens, w tej formie jednak zawdzięcza istnienie raczej indywidualności Modrzewskiego, którego Puszkin jest przekonywająco namiętny i przekonująco zazdrośny ale poeta jest tylko z historyczności nazwiska. Toteż całkiem fatalnie wypadły wiersze, które Iwaszkiewicz każe mówić swojemu bohaterowi. Są one niewątpliwie tak ściśle zespolone z dialogiem i charakterami jak ściśle zespolona z akcją była muzyka w „Lecie z Nohant“. W interpretacji Modrzewskiego strofy puszkowskie zdają się być oddzielnymi wkładkami, oddeklamowanymi „przed rampą“.

Doskonałą Nathalie była Leszczyńska. Wskutek tego jednak, że nie mogliśmy równocześnie oglądać najurodziwszej kobiety Petersburga, próżność jej i egoizm nabierały w głośniku potwornych, satanicznych rozmiarów. Stosunek Puszki do tej wcielenia nikczemnej małżonki zdawał się raczej jakąś pasją do samoudręki niż erotyczną namiętnością.

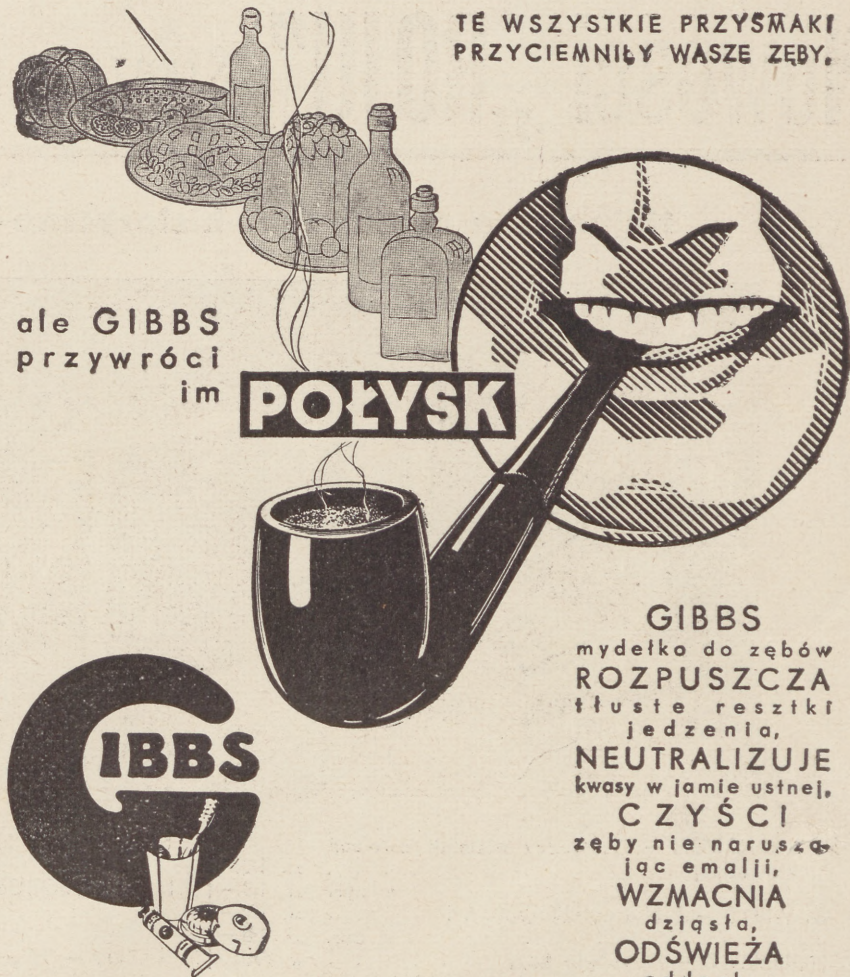
Stefan Essmanowski.

KTO TO JEST?



Jeśli wiesz, masz duże zdolności odgadywania i z łatwością rozwiążesz konkurs filmowy
W NASTĘPNYM NUMERZE „WIADOMOŚCI LITERACKICH“

Wszystkie książki nadsyłane do redakcji są odnotowywane w specjalnej rubryce.
Recenzje zamieszczane będą jedynie z wydawnictw nadsyłanych bezpośrednio pod adresem „Wiadomości Literackich“, a nie ich współpracowników.
O egzemplarzach recenzyn redakcja „Wiadomości Literackich“ w żadnym wypadku nie będzie się ubiegala.
Wydawcy i autorzy proszeni są o przysyłanie nowości możliwie w dwóch egzemplarzach.



Mydełko do zębów GIBBS jest sprzedawane w eleganckich pudełkach bakelitowych w 6 kolorach.

CAMERA OBSCURA

O współpracę czytelników „Wiadomości Literackich“ w „Camera obscura“
CO TYDZIEŃ ZŁ. 25.— NAGRODY

Zwracamy się niniejszem do czytelników „Wiadomości Literackich“ z prośbą o współpracę w dziale „Camera obscura“. Prosimy o przysyłanie nam wszelkiego rodzaju materiałów, jak broszury, ulotki, czasopisma (w postaci całych numerów lub wycinków nie pozostawiających wątpliwości skąd pochodzą) z ustępami kwalifikującymi się do „Camera obscura“ pod adresem: **Warszawa, Królewska 13, dział „Camera obscura“**. Ustęp taki należy wyraźnie oznaczyć, najlepiej kolorowym ołówkiem. **Komentarze nie są potrzebne**, wystarczy surowy materiał. Do przesyłki należy dołączyć imię, nazwisko i adres wysyłającego. Redakcja nie zwraca nadesłanego materiału i zastrzega sobie prawo wyzyskiwania go w dziale „Camera obscura“. Za najlepszą rzecz danego tygodnia redakcja przeznacza **nagrodę w wysokości zł. 25.—**, którą ma prawo dzielić lub w razie braku odpowiedniej kandydatury, przelożyć na następny tydzień.

W ubiegłym tygodniu nagroda została podzielona w sposób następujący: **zł. 15.—** otrzymała p. **Krystyna Piotrowska w Krakowie** (Długa 60) za wycinek z „I. K. C.“, **zł. 10.—** p. **Ewa Wiskowska w Poznaniu** (Norwida 9 m. 2) za wycinek z „Kurjera Poznańskiego“.

IKAC A HISTORIA

„I. K. C.“ (nr. 69) zawiadamia swych czytelników, że

uczona niemiecka, serdeczna przyjaciółka Polski p. Elwira v. Fürstenfeld, która niedawno bawiła w Krakowie w związku z nabyciem szopki krakowskiej dla Muzeum w Lipsku, obecnie nadsyła nam ciekawy artykuł o tem mieście przemysłu i literatury.

„Artykuł“, „niemieckiej uczoney“ jest rzeczywiście ciekawy, czytamy w nim taką np. rewelację:

Ta walka o wolność niemieckiego narodu przywodzi na pamięć walczonego wodza polskiego, księcia Józefa Poniatowskiego, który w obronie miasta poniósł śmierć ogdzonej kulami francuskimi.

Oj, jak niedobrze! Oj, jak nieładnie! Wstyd, Ikacucho!

C. O. P. I NIANKA

Z „Kurjera Poznańskiego“ (nr. 111):

Jedna z gazet śląskich przynosi szereg przykładów na to, że w Centralnym Okręgu Przemysłowym obsadza się stanowiska w sposób, urągający sprawiedliwości społecznej i interesowi państwa...

Do biura centrali w Katowicach została przyjęta jako maszynistka panna, która była nianką u sekretarza generalnego Zakładów Południowych.

Powtarzamy te informacje na odpowiedzialność owego pisma. Wymagają one gruntownego wyświeślenia ze względu na rolę, jaką COP ma wyznaczoną w życiu państwa.

Skandal! Nianka będzie pisała na maszynie. I to w czasach, gdy ośły pisują w gazetach!

WOLNOŚĆ GŁOSOWANIA

Z artykułu „Plebiscyt w Rumunii“ („Kurjer Warszawski“, nr. 64):

Rząd nie robił zbyt jasnej agitacji, jak również nie było nigdzie widać nacisku administracji. Wystarczyła obowiązkowość plebiscytu i wyższa kara pieniężna za asekantizm niż ta, którą dotychczas przewidywała ordynacja wyborcza do parlamentu. Głosujący przeciw musieli okazać legitymację i podać swój adres.

Musieli... bez nacisku...

MUSIMY...

W Wilnie powstało nowe potężne stronnictwo polityczne: Partja Kosynierska. I oczywiście organ prasowy p. t. „Ruch Kosynierski“. W nr. 1 czytamy m. in.:

Musimy wykorzystać swój przywilej

narodu zacofanego i wprowadzić u siebie najnowsze wzory techniki i organizacji, by tak opanować przyrodę i być tak silnymi, jak teraz produkujące państwa.

Musimy, musimy... Uczyć się musimy. Potem dopiero organizować partje i wydawać pisma.

PROFANACJA I STARE MONETY

Z pisma „W s z e c h p o l a k“ (nr. 8):

W dniu 1 lutego odbył się poranek z racji imienia P. Prezydenta. Na poranek były obecne trzy gimnazja. W trakcie programu zempolli (!) na skrzypcach Żyd z kl. I lic. z I. gimn. Młodzież polska nie zadowolona z tego wykazała swe oburzenie krzykiem „fuj, fuj“ i od czasu do czasu padaly jakieś stare monety na scenę, przerywając sprofanowaną uroczystość.

Kto sprofanował uroczystość? „Zempolacy rzyl“. Tajemnicą pozostaje tylko rzucanie starych monet na scenę. Ten numizmatyczny odruch oburzonej młodzieży przyjęty został zresztą przez żydowski profanatora z żywym zadowoleniem.

Z CZARNEGO ŁADU

Tygodnik religijno-wychowawczy „Saba t“ (25. II. 1938), drukuje śliczny kawaleczek p. t. „Stół koszerny — ołtarzem“, gdzie czytamy m. in.:

Świątynia wieczna jest idea żydostwa, jej wielkim ołtarzem — stół rytualny i koszerny, a ołtarz której żąda od nas B-g (!!!) jest mięso z oboju (!) rytualnego.

Dałby „B-g“, żeby kto tę czarną bandę takich „religijnych wychowawców“ na cztery wiatry przepędził!

DZIKA „IDEA“

Pod tytułem pisma „Front Inwalidzki“ czytamy, że jest ono poświęcone

propagandzie idei inwalidztwa polskiego i zagadnieniom opieki nad inwalidami wojennymi Wojsk Polskich.

Propagowanie „idei inwalidztwa“ musi się spotkać z ostrym protestem całego społeczeństwa.

DZIENNIKARZ

„C z a s“ (nr. 67) zamieszcza obok siebie dwie fotografie: króla angielskiego w powozie i Gabriela d'Annunzia w trumnie; pod niemi słowa:

Zgon Gabriela d'Annunzia, poety-żołnierza oraz wielki obiad, wydany przez króla Jerzego VI w pałacu Buckingham, stały się w ubiegłym tygodniu sensacją dnia, bez względu na przykre zestawienie.

Ładnie to pan dziennikarz napisał, i mądrze, i miło, i zwięźle. Słowem: wszystko w porządku.

OBOWIE DLA KRÓW

„Głos Poranny“ (nr. 57) donosi:

Zakłady Bat'y w Zlinie rozpoczęły produkować obuwie dla krówek, odpowiednio przystosowane do możliwości, właściwości i celów użytkowania przez krowy.

Jednym z „celów użytkowania“ będzie wierżanie obutymi raciami przy czytaniu przez krowy „Głosu Porannego“.

POTOMSTWO A NAKRYCIE GŁOWY

Z „Robotnika“ (nr. 69):

Prace biura statystycznego w Genewie wykazały, iż Szwajcarzy należy dzisiaj do rządu najuboższych w dziecku krajów na świecie. 30% rodzin szwajcarskich, należy do kategorii bezdzietnych; 20% rodzin ma tylko jedno dziecko, 20% rodzin może się wykazać dwójkiem dzieci, tylko 30% rodzin sprzedawców kapeluszy, męskich, posiada troje i więcej dzieci.

„Dzieło w szlapię“, jak mówią Rosjanie.

RATOWNICTWO

Bardzo ładną historyjkę opowiada „Kurjer Czerwony“ (nr. 64):

4-letni Jeffrey Kirke z Newhaven (Anglia) zawdzięcza uratowanie życia cienkiemu sznurkowi, który miał w czasie zabawy, uwiązany u palta. Malec wpadł do rzeki. Przechodząca opodal pani Cooke nie umiała pływać, posiadała jednak tyle przytomności umysłu, że kazała chłopcu chwycić się za sznurek i przyholowała go szczęśliwie do brzegu.

Równie skutecznym środkiem jest schwytywanie się za własną czuprynę. A najlepiej — mieć w kieszeni brzytwę i w razie wypadku zastosować znane przysłowie.

APHRODISIACUM

Ogłoszenie w „Kurjerze Powszechnym“ (nr. 67):



Twój interes leży?
najlepszemu lekarstwu
jest dobry insert

Na litość Boga, jakieś treści?!

Nowości „ROJU” Styczeń – marzec 1938 r.

Najnowsze dzieła serii historyczno-biograficznej



J. M. THOMPSON — Przywódca wielkiej rewolucji francuskiej	zł. 10.—	L. STRACHEY — Ludzie epoki Wiktorii	zł. 8.—
	w opr.		zł. 11.—
H. G. WELLS — Próba autobiografii t. I	zł. 13.—	D. LLOYD GEORGE — Wspomnienia wojenne Tom I	zł. 12.—
	w opr.		zł. 12.—
W. HULEWICZ — Przylbda Boży	zł. 15.—	F. HARRIS — W pogoni za pełnią życia 2 wyd.	zł. 15.—
A. NEUMANN — Drugie cesarstwo	zł. 15.—		

SERIA WYBITNYCH DZIEŁ XX WIEKU

S. UNSET — Olaf syn Auduna i jego dzieci (ostatni tom cyklu) t. IV	zł. 8.—	R. MARTIN DU GARD — Piękne czasy	zł. 7.—
A. HUXLEY — Niewidomy w Gazie 2 tomy	zł. 14.—	M. PROUST — Strona Guerantes (czwarta część cyklu „W poszukiwaniu straconego czasu”) 2 tomy	zł. 14.—

I. P. PAWŁOW Wykłady o czynności mózgu Cena zł. 12.— w opr. cena zł. 15.—	ST. GRABSKI Ku lepszej Polsce Cena zł. 6.—	T. KATELBACH Za litewskim murem Cena zł. 7.—	J. KUNCEWICZ Republika globu Cena zł. 12.—
---	--	--	--

LITERATURA ŚWIATOWA

G. O. BAXTER — Drewniana broń	zł. 5.—	A. POLTZER — Tajemnicza przystań	zł. 5.—
U. SINCLAIR — Socjalizm na raty	zł. 5.—	P. G. WODEHOUSE — Szczęście Bodkinów	zł. 5.—
P. BENOIT — Towarzysze Odyssa	zł. 5.—		
K. GRAHAME — O czym szumią wierzby	zł. 7.—		
H. OYEN — Kręte ścieżki	zł. 5.—		

PODRÓŻE I WYPRAWY



Kraj, Ludzie, Kolonizacja
cena zł. 12.—
w opr. cena zł. 15.—

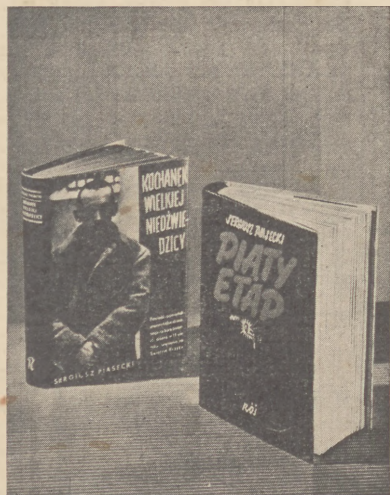
Wyprowa na Morze Białe
i Barentsa
cena zł. 8.—
w opr. cena zł. 10.—



PISARZE POLSCY

J. DĄBROWSKI i T. KWIATKOWSKI — Jeden trudny rok	zł. 3.—	T. KONCZYŃSKI — Kobieta z innej planety	zł. 7.—
P. GOJAWICZYŃSKA — Rajskie jabłko 2 tomy (II wyd.)	zł. 16.—	M. SAMOZWANIEC — Wróg kobiet	zł. 5.—
„Dwoje ludzi”	zł. 6.—	B. SCHULZ — Sanatorium pod Klepsydrą	zł. 10.—
T. KATELBACH — Za litewskim murem	zł. 7.—	M. SMOLARSKI — Iskry na szablach	zł. 7.—
J. KLEINER — W kręgu Mickiewicza i Goethego	zł. 6.—	CZ. STRASZEWICZ — Przeklęta Wenecja	zł. 6.—
M. KUNCEWICZOWA — Kowalscy się odnaleźli	zł. 1.50	J. STRASZEWICZ — Życie codzienne i święteczne	zł. 5.—
„Dni powszednie państwa Kowalskich (II wyd.)	zł. 8.—	„Waszność Pana i Jejmość jego małżonki	zł. 5.—
„Dyżurni warszawski (II wyd.)	zł. 6.—	J. WAŚNIEWSKI — Po dniówce	zł. 5.—
„Dwa księżycy (II wyd.)	zł. 3.—		
S. BALICKI — Czerw	zł. 6.—	T. DOŁĘGA-MOSTOWICZ — Trzy serca	zł. 8.—

SERGIUSZ PIASECKI



KOCHANIEK WIELKIEJ
NIEDZIEDZICY
(III wyd.)
cena zł. 10.—

PIĄTY ETAP
cena zł. 10.—



Pamiętnik
girls
cena zł. 8.—

Towarzystwo Wydawnicze „RÓJ”, Warszawa, Kredytowa 1



10 lat temu

Nr. 221 „Wiadomości Literackich” przynosi m. in. korespondencję Florjana Sobieniowskiego z Londynu „Sir Barry Jackson” (o założycielu i kierowniku „Royal Court Theatre”), szkic Edwarda Boyego „Ibanez i Unamuno o Hiszpanji Alfonsa XIII”, recenzję Stanisława Posnera z książki Thugutta „W obronie parlamentaryzmu”.
„W sprawie akademii literackiej” zabiera ponownie głos Karol Irzykowski. Irzykowski wyszydza program prac przyszłej akademii: „Bo jeżeli się mówi, że akademii będzie pielegnowała język, robiła słownik, to jest to taka sama błąka jak to, że miałaby pilnować... stylu... Więc to się mówi tylko tak dla rzędu, aby się wydawało, że akademii coś będzie robiła... Natomiast o programie pozytywnych prac akademii nic nie słysząc, lub też jest on również marny i bliźniaki. Niby dlatego, że przecież akademii nie może wpływać na rozwój literatury (laissez faire, laissez aller). Tylko tak sobie, rozdawnictwo nagród i subwencji (na co wystarczyłyby zwykłe jury lub wybrane specjalne komisje), czasem jakaś enuncjacja polityczna lub gratulacja papieżowa, jakieś rozstrzygnięcie sporu o plagiat”. I w rezultacie „czemby była akademja? Jeżeli tedy mają płać subwencje dla literatury, to zaiste jest to kanał wysadzany gąbkami. Połowa całej pomocy rządowej miałaby pójść na pensje akademików, wywołując przytem ten uboczny obrzydliwy skutek, że do różnic społecznych i materialnych, jakie dzielą literatów między sobą w walce o byt i w rywalizacji o duże publiczności, dodanoby jeszcze jedno: uprzywilejowanie”.



Korespondencja Tydzień bibliograficzny

DERMANKA, CARYCA I PAN WINOGRADOW

Do redaktora „Wiadomości Literackich”

Pan Winogradów z Dermanki nadesłał jeszcze jeden tak modny w naszej epoce protest i jeszcze jedno sprostowanie które, moim zdaniem, niczego niestety nie prostuje („Wiadomości Literackie”, nr. 752).

Cokolwiekby powiedział p. Winogradów, pozostanie prawdą że w XVIII w. kwitł na Wołyniu przemysł ceramiczny, a w XX w. przemysł tego nie ma.

Cokolwiekby „wyjaśniał” p. Winogradów, kaolin, który obecnie wywozi Wołyn, jest jedynie i wyłącznie surowcem, a porcelana, którą wywoził Wołyn XVIII w., była towarem. Kraje zaś które dostarczają surowców swym metropoliom czy centralom, nie przetwarzając go u siebie na towar, nazywają się w języku ekonomistów europejskich krajami o charakterze kolonialnym. Orzechy kokosowe, manjok, kakao też się segreguje i czyści na miejscu; ale nie zmienia to jeszcze ziarnak kakao w tabliczki E. Wedla.

A i owe fajanse „wołyńskie”, które tak zachwala p. Winogradów, nie wypierają u nas ceramiki zagranicznej. I tak jak chałupnicy z Bałut dostarczają gotowych ubrań ludzom z angielskich i kolonialnych „slumpów”, dzielnic niedzy, jak Japonia zegarków i rowerów, tak my tym samym ośrodkom dostarczamy jeszcze i owych „serwisów”, których w Polsce widzi się mało, bo inteligencja stać jednak na lepsze, a ludowi wystarcza — gliniany garnek.

Pan Winogradów ma mało danych do natrąsania się ze staropolskiego Korca, choć nie dziwi mnie że jeden jedyny serwis, jaki pamięta, to dar gienierała Tutolmina imperatrycy Katerinie... Wyroby Korca posiadały w Polsce średnio zamożne domy, nawet zupełnie skromne, i Korzec wyparł wówczas porcelanę obcą.

Ksawery Pruszyński.

PODZIĘKOWANIE

Do redaktora „Wiadomości Literackich”

Wszystkim, którzy raczyli pamiętać o setnej mojej pracy reżyserskiej, — „Nie-boskiej komedji”, wystawionej w Teatrze Polskim w Łodzi dn. 12 marca b. r., — tą drogą najserdeczniej dziękuję.

Leon Schiller.

*

N. Tr. w Radomiu. Jako druki. — Kazimiera Alberti: Biała koło Bielska, Staszica 1.
M. G. Szczegół bez znaczenia.

POWIEŚĆ, NOWELA

Biblioteka Boya, Arcydzieła Literatury Francuskiej. Balzac. Komedja ludzka. Ojciec Goriot. Wydanie nowe. Warszawa, Biblioteka Boya, (1938); str. 267 i 5nł. Zł. 6.50 i 8.50 (opr. pł.). — Miłośnicy przekładów Boya z entuzjazmem powitają wznowienie jego Biblioteki: od ich poparcia zależy, czy dalsze tomy Biblioteki będą mogły się ukazywać.

Jan Waśniewski. Po dniówce. Warszawa, „Rój”, 1938; str. 275 i 13nł. Zł. 5. — Tom opowiadań ze środowiska górniczego: „Mogilki pod lasem”, „Pichacz z Olsza”, „W Dąbrowie Górniczej”, „Od-wiedzin zdaleka”, „Bracio śwarcowniki”, „Dłowne casy”.

HISTORIA, PAMIĘTNIKI, POLITYKA

Portrety. Mjr. Mieczysław Lepecki. Maurycy August hr. Beniowski, zdobywca Madagaskaru. Okładka — oryginalny drzeworyt barwny St. O. Chrostowskiego. Łwów, Książnica-Atlas, 1938; str. 212 i tabl. 12. Zł. 6.40. — Barwny życiorys Beniowskiego, w ujęciu Lepeckiego nie awanturka czy poszukiwacza przygód — ale pioniera kolonialnego.

J. Straszewski. Życie codzienne i święteczne Waszność Pana i Jejmość jego małżonki. Warszawa, „Rój”, 1938; str. 237 i 3nł. Zł. 5.— Obraz codziennego życia dawnej Polski, ujęty w ramy następujących rozdziałów: „Apetyty naszych przadków”, „Kłopotliwa gościnność staropolska”, „Kielich i szabla”, „Toalety rana na rokokowej damy”, „Barwizka i bieleldo”, „Kawaler się stroi”, „Osobliwości higieniczne”, „Kolas, kolebka, karoca”, „Gdy bukowe szczapy płoną na koninku”, „Modne choroby”, „Galanteria obowiązuje”, „Dnie powszednie i święteczne Waszność Pana i Jejmość jego małżonki”, „Waszność Pan sprawy publiczne odprawia”, „Waszność Pan odbiera i ofiarowuje upominki”, „I jak tu nie wierzyć w czary”.

J. Thompson. Przywódca rewolucji francuskiej. Tytuł oryginału: „Leaders of the French Revolution”. Autoryzowany przekład Stefana Pomiana. Warszawa, „Rój”, 1938; str. 308 i 4nł. i tabl. 11. Zł. 10.— Wizerunki Sieyès, Mirabeau, Lafayette’a, Dumouriez, Brissota, Louveta, Dantona, Fabre’a d’Eglantine, Saint-Justa, Robespierre’a, Marata.

Włodzimierz Wiskowski. Przepraszam że żyję! Wydanie drugie. (Okładka Piotrowskiego). Warszawa, J. Przeworski, 1938; str. 410 i 6nł. Zł. 7.— Autor tej książki, przed szeregiem lat zajmował wybitne stanowisko w administracji państwowej. Nadzycia popelnione na tem stanowisku odpokutował więzieniem. Ze wspomnień więziennych powstała niniejsza książka; pierwsze jej wydanie uległo konfiskacie. Wiskowski daje bogatą panoramę życia więziennego, ukazując jego liczne aspekty.

Książki nadesłane

Antoni i Marja Bechcycz-Rudniccy. W retoricie życia. Nowele. Warszawa, 1938; str. 175 i 3nł.

Max Brod. Abenteuer in Japan. Roman. Amsterdam, 1938; str. 232 i 4nł.

Wydawnictwa Instytutu Śląskiego. Pamiętnik Instytutu Śląskiego. VI. Paweł Hulka-Laskowski. Śląsk za Olzą. Z 274 ilustracjami i 2 mapami. Katowice, 1938; str. 493 i 3nł. i tabl. 2.

Biblioteka Umiejętności Prawnych i Politycznych pod redakcją Artura Miłłera, prokuratora Sądu Najwyższego, Stanisława Tylbora, adwokata. 3. Fernand Payen, b. dziekan Rady Adwokackiej w Paryżu. O powołaniu adwokatury i sztuce obrończej. Przełożył Jan Ruff, adwokat. Przedmowa opatrzył Leon Nowodworski, b. dziekan Rady Adwokackiej w Warszawie. Kraków, (1938); str. 253 i 3nł.

Louis-Charles Royer. L’Amérique toute nue. Corps et âmes yankees. Illustrations de G. Pavis. Paryż, 1938; str. 4nł. i II i 233 i 3nł.

Ignacy Schreiber. Ściaga w praktyce. szkolnej. Kraków, 1938; str. 128.

André Sillon. Jego Ekselencja ogląda świat. Powieść. Autoryzowany przekład z francuskiego Zygmunta Wita. Warszawa, 1938; str. 215 i 1nł.

DRAGO

mieszanka benzyny,
benzolu i spirytusu:

Stacje uliczne w Warszawie i na prowincji
„DRAGO”

S. A.

Warszawa, Żórawia 3, tel. 550-20

PRZEDSTAWICIELOM PRASY UDZIELAMY SPECJALNYCH RABATÓW

oszczędność
łatwy rozruch
czyste spalanie
spokojna praca
m o t o r u

REDAKCJA: Złota 8 m. 10, tel. 2-42-82, w poniedziałki, środy i piątki w godz. 16 — 18. ADMINISTRACJA: Królewska 13, tel. 2-23-04, codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt, w godz. 9 — 19. Konto w P. K. O. 8.515.

Redaktor: MIECZYSLAW GRZYDEWSKI

Wydawcy: ANTONI BORMAN i M. GRZYDEWSKI

PRENUMERATA z przesyłką zł. 9.— kwartalnie, zagranicą zł. 12.— OGŁOSZENIA: za wiersz wysokości 1 mm, szerokości 1 szpalty, 60 groszy za tekstem; 80 groszy w tekście. Kolumna ma 6 szpalt.

Drukarnia Galewski i Dau, Warszawa, Ordynacka 6.